

Obrzeża Rewiru
AGENCJA

*Izuni i Zuzi - dwóm przeciwieństwom, które się przyciągnęły.
Co dwie siostry to nie jedna, Kocham was.*



Dobrze dobrana para

Po latach nie pamięta się stresu związanego ze swoim ostatnim dniem szkoły. Ostatniego dnia w doskonale znanym świecie – zamkniętym, bezpiecznym mikrokosmosie, w którym potrafiliśmy się odnaleźć, ponieważ właśnie wokół niego obracały się do tego momentu całe nasze życia. Moja siostra szczęśliwie zdążyła szybko zapomnieć, jak stresowała się swoją maturą i jak nie mogła z jej powodu spać, ale ja wciąż mam w głowie aż nazbyt wyraźny obraz jej filigranowej sylwetki zgarbionej przy biurku, wertującej skrupulatnie sporządzone notatki i skróty myślowe. I wiecie co? Gdy przyszło co do czego, zgodnie z moimi przewidywaniami zdała ją wybitnie. Jeśli ja miałem w kurwę dobre powody, by cieszyć się jak szalony ze swoich wyników i puszyć nimi przed wszystkimi, których spotkałem na ulicy, ona powinna była chyba wynająć sobie jakiś okoliczny billboard żeby obwieścić światu, że dokumentnie rozpierdoliła system i uzyskała jeden z najlepszych średnich wyników w całej szkole.

Kiedy wróciła do domu ze świadectwem, promieniejąc z radości i dumy, jej również, tak samo jak mnie dwa lata wcześniej, mama obwieściła, że właśnie rozpoczęło się jej dorosłe życie, ale w przeciwieństwie do swojego starszego brata ona była na nie w pełni gotowa. Miała ambitny plan, który powolutku wdrażała w życie od kilku lat, nie uwzględniając możliwości jakichkolwiek kompromisów, porażek czy sentymentów. Zdanie matury było jednym z kluczowych jego kroków, który nie tylko otworzyłby przed nią drzwi dowolnie wybranej uczelni wyższej, ale przede wszystkim pozwoliłby jej się uniezależnić. Wyfrunąć z gniazdka.

O tym ostatnim nie powiedziała nam aż do ostatniej chwili, stawiając nas przed faktem dokonanym; „*mamo, braciszku... wyjeżdżam na dobre*”. Wiedzieliśmy, że chce studiować psychologię w sąsiednim mieście, ale nie spodziewaliśmy się, że w tym celu zdecyduje się wyprowadzić z domu i znaleźć ćwierć-etatową fuchę, by zarobić na swoją część czynszu. W końcu nie mówimy o jakimś ogromnym dystansie.

Nie powiem, mocno wstrząsnęło to naszą rodziną, ale rozumiem, dlaczego Iza podjęła taką, a nie inną decyzję. O ile mnie każdy zakątek rewiru przywodził na myśl liczne wspomnienia z czasów szkoły, które przeżyłem z przyjaciółmi, jej pewnie kojarzył się wtedy gorzko; dziewczyna potrzebowała świeżego startu w nowym miejscu, z nowymi ludźmi, bowiem w bliskiej okolicy do tej pory nie zaznała szczęścia.

W tym wszystkim ucieszyła mnie wiadomość, że psychologia od razu przypadła Izce do gustu. Na jej roku było sporo śmieszków śmieszkujących z Demotów i Komixxów, z którymi czasem chodziła na imprezy i ogniska, ale zwykle trzymała się ze swoją najlepszą przyjaciółką Anabellą i dwiema koleżankami z liceum, z którymi wspólnie wynajmowała małe mieszkanie parę ulic od swojej Alma Mater.

Aż pewnego dnia na drugim roku studiów nastąpił największy w jej życiu przełom, któremu na imię było Zuzanna.

Dziewczyny poznały się przypadkiem w kafejce, w której Iza dorabiała sobie w weekendy, zresztą razem z jedną czy dwiema współlokatorkami. Ekipa Zuzki wpadła tam pewnego wyjątkowo deszczowego dnia żeby nie przemoknąć do suchej nitki i ktoś rozpoznał jedną z tych przyjaciółek z uczelni, więc zagadali i wszyscy się sobie przedstawili.

Wiadomo jak to jest ze studentami-śmieszkami, zawsze Igną tam, gdzie mają jakichś znajomych albo znajomych znajomych, w nadziei że dostaną na coś zniżkę albo nawet lepiej, coś za friko. No i tak jakoś nasze dwie bohaterki nawiązały pierwszą nić porozumienia, z czasem, podczas kolejnych wizyt Zuzki, zaczęły ze sobą po prostu gadać i w końcu wymienili się numerami, przechodząc ze sfery znajomości na koleżeńską.

Wtedy też moja siorka zaczęła czuć do niej miętę, chociaż póki co podchodziła do jej osoby kurewsko nieśmiało i czasem zaprzęgała do pomocy Anabellę, bo jej samej brakowało pewności siebie i odwagi żeby poprosić Zużę o spotkanie w cztery oczy. Bała się cholernie dać swojej lubej jakiś delikatny sygnał że się jej podoba (żeby czasem nie powtórzyć błędu, jaki popełniła podczas komersu po podstawówce), no ale Zuzka jak to Zuzka, relacje międzyludzkie miała w małym paluszku i szybko zauważyła, że jej introwertyczna nowa znajoma jest wyraźnie bardziej skrupowana, gdy są tylko we dwie i obrała sobie za cel wybadanie dlaczego. Wyszła więc z inicjatywą i zapytała, czy pójdą we dwie na jakiś film albo koncert.

- Super. To co, zgarnę cię w piątek o siódmej?

Siorka była wniebowzięta i od razu się zgodziła, nie pytając nawet gdzie Zuza planuje ją zabrać. To, jak miemam, nie było dla niej ani trochę ważne.

Całe piątkowe popołudnie spędziła na strojeniu się, bo była to jej pierwsza w życiu randka albo namiastka randki, bowiem nigdy nie zapytała nawet Zuzy o jej orientację seksualną. A nawet jeśli, to szanse na to, że nie była hetero były, umówmy się, bardzo niskie. Niemniej chciała pokazać się z jak najlepszej strony przed lubą, nawet, jeśli nie miała większych nadziei na to, że ich relacje mogłyby przejść z platonicznych na romantyczne. Zrobiła więc sobie delikatny, niewyzywający makijaż, upięła włosy w luźny kucyk, założyła letnią hipsterską sukienkę w kwiatki i pasujące baleriny, po czym udała się na miejsce spotkania.

Zuzka wzięła ją na koncert Skowytu.

Mijały miesiące, ich przyjaźń umacniała się wraz z tym, jak jedna dowiadywała się więcej na temat drugiej. Moja siostra była oczarowana otwartością i bezpośredniością Zuzy, a także opowieściami o inbach, jakie ta odkurwiała, na przykład strzelaniu z procy do jakichś posążków Maryi Zawsze Kurwy No Bo Przecież Nie Dziewicy w ogrodzie za domem, dolaniu płynu do okien do herbaty jednej nauczycielce w gimnazjum albo żmudnym staraniu się o bycie wyjebaną z liceum, do którego zapisał ją stary wbrew jej woli i grożeniu mu, że jak jej nie przepisze, to zrobi sobie irokeza. Zuza z kolei próbowała rozgryźć moją siostrę, zafascynowana jej skryciem i wszystkim tym, czego nie okazywała otwarcie, a było tego niemało. Z czasem udało jej się przekonać Iżę do otwarcia się i podzielenia tym i owym – tak zabawnym i wesołym, zwykle z udziałem pojebanych kolegów jej starszego brata, jak i w kurwę mrocznym i potwornym, czyli historii z ojcem alkoholikiem.

Najbardziej z tego wszystkiego Zuza zainteresowała się jednak relacjami rodzinnymi między Iżą, mną i naszą mamą, które były nienaturalnie wręcz mocne. Zuzka nie miała w życiu okazji poznać takiej rodzinnej bliskości, ponieważ jej ojciec nigdy nie ukrywał, że chciał spółdzić synów, a nie córkę, do tego pierworodną, a matka była bardziej własnością męża, która robiła to, co ten jej kazał, aniżeli samodzielnie myślącą i funkcjonującą osobą.

- Hej, może przedstawisz mnie kiedyś swojej mamie? - Zapytała więc pewnego razu moją siorkę, gdy ta skończyła jej opowiadać o dawnych latach. Czuła już od jakiegoś czasu pismo nosem i podejrzewała, że ta chciałaby się bardziej niż przyjaźnić, a sama przy okazji też doszła do wniosku, że nie jest to atrakcja jednostronna.

- A... chciałabyś ją... poznać?

- No pewnie! Pytasz, a wiesz! Brata też, bo z tego co mówisz, to wariat mojego typu. No co, nie chciałabyś im przedstawić dziewczyny?

Szach mat. Siorka zarumieniła się i spuściła wzrok, co było równoznaczne z potraktowaniem tego pomysłu poważnie i nie próbowała szukać wymówki albo poprawić „dziewczynę” na „przyjaciółkę”. Zuza wyczytała z niej jak z otwartej książki wszystko, czego potrzebowała. Położyła więc zawstydzoną już-nie-przyjaciółce dłoń na policzku.

- Chciałabym... - Przyznała Iza cichutko.

O pierwszym spotkaniu Zuzy ze mną i mamą nie ma co opowiadać. Od razu coś między nami kliknęło i do tego zajebicie dobrze się czułem wiedząc, że siorka wreszcie znalazła sobie drugą połówkę i że chyba pierwszy raz w życiu jest szczęśliwa. Do tej pory była wyraźnie samotna, od najmłodszych lat tłumiona przez otoczenie i o jej orientacji seksualnej wiedziała do tej pory ledwie garstka wybranych, z czego trzy osoby stanowiące niemały jej procent znajdowały się w tamtym momencie w jednym miejscu.

Gdy siorka przedstawiła mi Zużę, myślałem, że będę skakał pod sam sufit, tak się cieszyłem, widząc wyraz twarzy siostry. Było w nim coś nowego, czego nie widziałem od lat, o ile w ogóle. Była zdenerwowana, jasne, ale w jej oczach paliły się wesołe iskierki. Możecie mi wierzyć lub nie, ale gdybym wygrał w Totka, to nie cieszyłbym się z tego nawet w połowie tak, jak wtedy cieszyłem się szczęściem siostry i jej pierwszą miłością.

Może kurewsko tęskniłem za nią i brakowało mi jej obecności w naszym domu, ale nie mogłem zignorować tego, że jej życie wreszcie zaczęło się układać. To, o czym mogła tylko marzyć na rewirze, stało się prawdą dwadzieścia parę kilometrów dalej, jakby był to zupełnie inny świat.

Z Zuzką od razu znaleźliśmy wspólny język i chyba nie przesadzę mówiąc, że zakumplowaliśmy się od pierwszego spotkania. Wielu jej osobowość mogłaby przytłoczyć albo wydać się mocno przejawioną, ale szczerze, mnie momentalnie się spodobała, bo czułem, że jej ekstrawertyzm korzystnie wpływa na Izę i pozwala czuć się jej pewniej. Ewelina w sumie zgodziła się z moją oceną. Dziewczyny wyraźnie wzajemnie się uzupełniały.

Gdy związek tych dwóch rozwinął się już na tyle, by oficjalnie mogli uznać się za parę, Iza zapytała Zuzkę czy może chciałaby ją przedstawić swoim rodzicom, skoro ta znała już mnie i Ewelinę. Do tej pory panna Zuzanna unikała trochę ich tematu w rozmowach i nie paliła się do tego, by jechać do rodzinnego domu i dzielić się z rodzicami radosną wieścią. Odwlekała to, wymigiwała się, ale w końcu dłużej nie mogła i pojechały we dwie do jej rodzinnej posiadłości na jakieś urodziny czy inne święto, oczywiście wcześniej nie wyjawiając starym ani że ma dziewczynę, ani że jest biseksualna, co chyba dosadnie ilustruje jej brak zaufania wobec nich, ale do tego tematu wrócę jeszcze w swoim czasie.

Dziewczyny zajęły na miejsce, na którego widok Izcie aż szczęka opadła, bo okazało się, że jej skarbek wychował się w pierdolonej willi. I nie, nie mam tu na myśli „willi”, za jaką uznawaliśmy dom Anabelli w czasach szkoły. O, nie. To była willa-willa, taka z prawdziwego zdarzenia, zbudowana na działce wielkości całej naszej ulicy, a i to włączając w nią przyległe osiedlowe nieużytki.

- Zuzia, nigdy nie mówiłaś mi, że... wiesz... - Zająknęła się Iza, nie wiedząc jak zgrabnie ubrać w słowa to, co chciała przekazać.

- Pieniądze to nie wszystko, uwierz mi, księżniczko. - Odburknęła Zuzka, zauważalnie nie w sosie.

Jej rodzice wyszli przed posiadłość żeby powitać córkę i poudawać kochających rodziców przed swoją siostrą. Oboje na pokaz wyściskali Zuzę, z grzeczności zapytali ją jak tam na studiach i poprosili o przedstawienie im jej koleżanki, dotąd nieśmiało stojącej przy furze i nie odzywającej się nawet słowem.

- Mamo, tato, to moja dziewczyna. - Rzuciła beztrosko, wskazując Izę ręką.

- No fajnie, że masz przyjaciółki na uczelni. - Odparł zdawkowo jej ojciec pogrążony w totalnej ignorancji.

- Nie zrozumieliście mnie. To moja dziewczyna. Jesteśmy parą.

Nastąpiła chwila kurewsko niezręcznej ciszy, podczas której jej starzy wymienili między sobą skonsternowane spojrzenia jakby dopiero co powiedziała im, że ma raka z przerzutami.

- Ale... jak to tak? To nie chodzisz już z Łukaszem Rajzerem? - Wyjąkała jej matka będąca chyba o krok od obłędu.

- Zerwałam z nim na niedługo nim się poznałyśmy.

Znowu cisza, starzy stali w szoku z półotwartymi ustami, nie wiedząc jak zareagować na to, co usłyszeli, podczas gdy Iza zastanawiała się pręźnie czy może nie powinna się grzecznie pożegnać i uciec. Stary Zuzki, otrząsnąwszy się i przełknąwszy ślinę, zapytał się w końcu:

- Nie zastanawiałaś się nad wizytą u psychologa?

Żona momentalnie zaczęła szeptać mu żeby nie robił afery przy gościu, bo to sprawa rodzinna, hehe, taka faza pewnie, no córka dorasta więc się buntuje albo sobie tak tylko żartuje.

Zuzka liczyła na chłodne przyjęcie, wiedząc jak zatwardziały konserwatywna jest jej najbliższa rodzina, ale nie spodziewała się, że ojciec urazi ją aż tak bardzo. Była już czerwona na twarzy, a krew gotowała się jej w żyłach, ale cudem opanowała nerwy i chłodno odpowiedziała mu tylko:

- Tak się składa, że widuję się z psychologiem...

Stary przytaknął z aprobatą, nie zdając sobie sprawy z tego, czego córka nie zdążyła jeszcze wymówić.

- ... i przyjechała ze mną. Magisterkę będzie robić za dwa lata.

Siorka wspominała później tę wizytę bardzo źle i niezręcznie, ale podobno obyła się bez większych kłótni i rękoczynów. Starzy Zuzy uważali, że jej związek to fanaberia albo policzek wymierzony celowo im i Kurwie Niebieskiej, na co ich córka zareagowała kompletnym

zdystansowaniem się od nich. Jak dzwonili, to mówiła im że nie ma czasu na rozmowy, a jak ją zapraszali to odpisywała, że ten dzień ma już zajęty i że spędzają go razem z moją siorką.

W końcu chyba dotarło do nich, że mają dwie opcje – względnie zaakceptować związek tej samej płci córki albo stracić z nią całkowity kontakt. Wybrali rozsądnie tą pierwszą, chociaż mocno niechętnie i na pewno uważając na to, by dziewczyn nie zobaczył żaden ich poważny znajomy albo klecha, na których coś takiego mogłoby zrobić negatywne wrażenie, narażając dobre imię ich rodu.

Relacje między Zuzą a jej rodzicami nigdy nie ociepliły się na tyle, by można nazwać je rodzinnymi, ale przynajmniej zaczęli wysyłać jej zaproszenia w liczbie mnogiej.

Także widzicie, gdy przychodziło do przegadywanek i kłótni, Zuzka zawsze musiała mieć ostatnie słowo. Była jak tykająca bomba... albo nie, lepiej, jak buteleczka nitrogliceryny, która może eksplodować w dowolnym momencie i biada temu, kto ją sprowokuje. Nierzadko wpadała przez swój niewyparzony język w jakieś drobne kłopoty i moja siorka musiała poznać od kuchni tajniki deeskalowania konfliktów albo przynajmniej wyciągania lubej z tarapatów. Raz czy dwa musiała nawet przemóc swoją płochliwą naturę i zwalczać ogień ogniem, bo gdyby to Zuza metaforycznie zapłonęła jako pierwsza, to pożoga byłaby gorsza niż w Kalifornii.

Po paru latach związku, świeżo po studiach, wybrały się we dwie szukać mieszkanka, bo zdecydowały się wreszcie zamieszkać razem i zrobiły listę potencjalnych lokacji do wynajęcia. Iza ubrała się na tę okazję elegancko, w jakąś profesjonalnie wyglądającą garsonkę i obcasy, Zuza z kolei narzuciła na siebie znoszoną koszulkę Dezertera, jakieś potargane szorty i trampki, w których chodziła chyba wszędzie, tak je lubiła. Tak bardzo wyjebane w robienie dobrego wrażenia na właścicielach mieszkań, zero kompromisów czy udawania kogoś, kim się nie jest.

Dziewczyny weszły do jednego mieszkania, otworzył im jakiś typowy Janusz z wąsem i brzuszyskiem wielkości piłki plażowej. Oprowadził je po mieszkaniu, wypytywał skąd są, w jakich branżach pracują i czy chcą mieszkać tylko we dwie. Odpowiadały mu grzecznie, ale nie wdając się w żadne zbędne szczegóły, bo każdy na ich miejscu wiedziałby, gdzie dyskusja zmierza. W końcu, gdy pokazał im sypialnię i te komplementowały wielkie łóżko, zadał „to” pytanie.

- Ale ten, no... jak będziecie chciały, to mogię wam przywieźć dwa małe łóżka. Chyba żeście są ten, teges?

Dla niekumatych powiem tylko, że „chyba” nie oznaczało bynajmniej że zostawi im jedno łóżko, tylko że mogą sobie poszukać nowego mieszkania, bo on im swojego nie będzie wynajmował.

Zuza jak to Zuza, zacisnęła pięści i już miała mu coś odszczeknąć, ale partnerka ubiegła ją w ostatniej chwili. Zachichotała uroczo, wręcz w obrzydliwie przesłodzony sposób o który nigdy bym jej nie podejrzewał, łapiąc ją niedwuznacznie w talii i patrząc mu w oczy rzuciła:

- Och, nie, skądże, moja Zuzia jest akurat bi!

I znowu zaśmiała się niewinnie, niczym mała dziewczynka.

Janusza zamurowało, chociaż wątpię, by zrozumiał co ta mu powiedziała. Bardziej chyba oburzyła go jej śmiałość i brak szacunku dla starszego niż samo znaczenie skrótu „bi”.

- Ten, no... wizytacja skończona. Mam następnych gości za dwie minuty. Panie wiedzą gdzie są drzwi.

Siorka z chłodem na twarzy skierowała się w stronę wyjścia, ale Zuza ją zatrzymała.

- Kochanie, mamy jeszcze dwie minuty... - Mruknęła, po czym pocałowała ją namiętnie w usta, jedną ręką gładząc jej włosy, a drugą pokazując Januszowi na do widzenia środkowy palec.



Arigato, misuta Robotto

Jak już kiedyś wspomniałem, Ewelina pomogła mi załapać się w firmie, w której sama pracowała, i spędziłem tam ładnych parę lat, centralnie pod nią. Była dobrą i uczciwą szefową, która dbała o to, bym ani się nie obijał, ani nie miał nadmiaru zadań, ale w pewnym momencie jej szefostwo, ani dobre, ani tym bardziej uczciwe, uznało, że nie starczy im na ich własne bonusy i podwyżki, o ile nie przeprowadzą restrukturyzacji firmy, czyli mówiąc w bardziej zrozumiały i ludzki sposób nie wypierdolą jednej czwartej pracowników i nie zlecą ich pracy jakimś podwykonawcom na umowach śmieciowych, a najlepiej to w ogóle żyjącym na Ukrainie albo w Indiach. Tak działa kapitalizm.

Gdybym się postarał i pogadał z paroma wyżej postawionymi pasożytami, to mógłbym tam trochę jeszcze zabawić i przeczekać trudny okres oraz masowe zwolnienia, ale trafiać chciał, że ledwie parę miesięcy wcześniej Iza z Zuzą znalazły sobie mieszkanie dwie dzielnice od rewiru, a ta druga postanowiła założyć własną agencję reklamową, i ni z gruchy, ni z pietruchy zapytała mnie, czy nie chciałbym pracować z nią.

Oczywiście, że chciałem, bo od momentu, gdy się poznaliśmy, wywiązała się między nami szczerza przyjaźń i było stuprocentowo pewne, że operujemy na tych samych falach, mimo, że różniliśmy się od siebie diametralnie. Może w tym tkwił cały sekret, nie wiem. Widać sympatię wobec wyszczekanych, szalonych dziewcząt mamy w rodzinie we krwi.

Chuj, że nie miałem wykształcenia kierunkowego, nigdy nie pracowałem w marketingu i reklamie, moim jedynym pokrewnym z nimi doświadczeniem było założenie sekty Ganesha, no a do tego nie miałem ani nawet nie znałem większej części niezbędnych do tego typu pracy programów, ale w sumie to samo można było powiedzieć o Zuzce. Poza kultem.

Nie żeby było jej to wszystko potrzebne – do jej funkcji, jako szefowej, należał kontakt z klientami i ogarnianie pomocy od znajomych, bo miała ich chyba we wszystkich, kurwa, możliwych branżach. Trzeba było grafika 3D? Kurwa, spoko, znała typka co wszystko wymodzi w terminie. Kogoś, kto postawi stanowisko wystawiennicze w Norwegii? Jej brat ma wyspecjalizowaną firmę. Porady prawnej? Ma numer do jednej pani adwokat, która wisi jej przysługę. Dekarza? No kurwa, brat pana Zbyszka co za lasem mieszka robi za półdarmo.

Nie wiem jak nawiązała wszystkie te znajomości, ani jak je wszystkie spamiętywała, ale była jak szwajcarski scyzoryk, gdy przychodziło do wynajdywania ludzi o jakichś konkretnych umiejętnościach albo pochodzących z konkretnych miejsc. Zresztą wszyscy pracownicy jej agencji byli zbieraniną jakichś jej znajomych albo znajomych znajomych; nie było żadnej rekrutacji ani zbierania CV - kto coś ogarniał i chciał z nią pracować, to pracował. Łatwiej niż pracę u niej to chyba tylko wpierdol można by dostać.

Ja miałem być jej asystentem, który pilnowałby, by reszta siły roboczej nie opierała się, gdy szefowa jest na wyjeździe, ma pełne ręce roboty albo jest zestresowana i musi sobie w swoim biurze ulżyć. Ale spokojnie, po kolei, zaczniemy może od początku.

Pierwsze dwa dni mojej pracy w agencji były luźne, powiedziałbym nawet, że na tyle luźne, że czułem się niepewnie. Byłem przyzwyczajony do wysokiego tempa w poprzedniej robocie, a tutaj przychodziłem do biura, włączałem kompa, robiłem sobie herbatkę i siadałem z Zuzką, dyskutując sobie o losowych sprawach, w tle robiąc jakieś mało znaczące gówna, podczas gdy reszta zespołu, w sensie jedna loszka, tyrała na wysokich obrotach, bo deadline gonił, a brakowało akurat drugiego grafika, Sebka, który akurat miał operację w szpitalu z powodu łokcia robiącego mu „domo arigato, misuta Robotto”¹. Nie znam szczegółów, wiem tyle, że połamał sobie rękę na nartach, a może to snowboard był, no na pewno mówimy o jakimś typowo zimowym sporcie. Wypierdolił na stoku w jakąś choinkę i musieli mu wkręcać śruby w łokieć, i jak go poznałem, to już był chyba po trzech operacjach czy coś koło tego. Ktoś coś podczas nich najwyraźniej zjebał, bo Sebek miał ograniczony i sztywny zasięg ruchowy, problemy z nerwami i przy niektórych ruchach jego łokieć wydawał takie piski i pomruki, jak źle naoliwiony zawias. Przy okazji mógł się też pochwalić światu kurewsko szpetną blizną. Szefowa żartowała sobie, że powinien się wokół niej wydziarać, bo gdyby tylko dodać jej oczy i język, to byłaby wypisz-wymaluj buźka z logo Nirvany.

Dochodziła siedemnasta, czyli koniec naszej ówczesnej dniówki, Zuza zabrała się do przeglądania owoców pracy Szarej Myszki, czyli naszej naczelnej artystki, które miała teraz-zaraz wystać do drukarni. W naszej agencji, tak nadmienię, robienie wszystkiego na ostatnią minutę było normą bez względu na to, czy zespół był kompletny czy nie.

- Widzisz gdzieś jakieś szyldy na boki stoiska? - Zapytała mnie. Plan był taki, żeby wydrukować na bokach namiotu wystawienniczego logotyp naszego klienta. Seba miał się tym zająć, ale najwyraźniej albo zapomniał, albo nie zdążył przed wyjazdem do szpitala, albo nikomu nie powiedział, żeby to za niego zrobić.

Przejrzałem wszystkie foldery realizacji i nigdzie ich nie znalazłem. Zuzka w tym czasie próbowała się dodzwonić do Seby, ale Seba nie odbierał, bo chyba zdążył już wjechać na salę operacyjną. Szara Myszką z kolei zdążyła już wyjść z biura i pojechała odebrać gówniaka z jakichś zajęć.

Inba poważna, bo w biurze zostaliśmy z Zuzką tylko we dwoje, a gdybyśmy wysłali w drogę namiot bez nadruku, to umówiona kara za niedotrzymanie warunków umowy skończyłaby się zbankrutowaniem naszej nowofirmy.

- Hej, to jakieś poważne projekty? - Zapytałem, widząc po niej, że się mocno denerwuje i zastanawiając, czy może ja nie jestem w stanie jakoś pomóc. Albo przynajmniej na szybko zadzwonić do Ziemka, który jako jedyny ze znanych mi osób może by coś wymyślił.

- Nie, po prostu logo w odpowiedniej rozdzielczości w odpowiednim miejscu. Prościzna, nawet ja bym to ogarnęła chyba, gdybym miała tylko program.

- To może ja na szybko dam radę je odtworzyć? Ile ich było?

- Dwa. Jeden na tył namiotu, jeden na bok.

Spoko. Rzuciłem się do kompa i odpaliłem Photoshopa, bo moje doświadczenia z grafiką ograniczały się do robienia sobie awatarów albo w porywach nawet tapet, więc myślałem, że taki kombajn to do wszystkiego się nada.

- Zuza, w jakim rozmiarze mają być te wydruki?

- Dwa i pół metra na dwa, a drugi sześć na dwa.

Wklepałem rozmiar, ustawiłem 300 DPI i wyjechało mi, kurwa, projekt z 70 tysiącami pikseli w poziomie; wkleiłem na oko logo, które swoją drogą było dostarczone nam w formie rastrowej, a nie wektorowej.

Gotowiec ważył coś koło gigabajta. Ale do końca dniówki się wyrobiłem.

Szwagierka aż mnie wyściskała, w podzięcie że uratowałem firmę. Klient w sumie też był zadowolony w chuj, wysłał nam nawet mailem fotki z expo z tym namiotem w pełnej okazałości. Pal licha, że to logo nie było idealnie na środku, tylko parę centymetrów w lewo, a w dodatku nawet na zdjęciu z telefonu widać było, jak kurewsko rozpikselowane jest, ale umowa zrealizowana, kasa wpłynęła, a my zyskaliśmy lojalnego klienta. Nawet breloczki i mini smycze dostaliśmy od niego w nagrodę.



Zapas płynów

Obawiając się, że podobne sytuacje mogą się powtórzyć w przyszłości, w kolejnych tygodniach postanowiłem przyuczyć się obsługi programów, z których korzystano w naszym biurze, czyli Illustratora i czasem InDesign'a. Nigdy wcześniej nie miałem potrzeby korzystać ani z tego pierwszego, ani tym bardziej drugiego, więc najpierw zapytałem się szwagierki, czy mamy jakąś hehe licencję na więcej kompów żebym mógł się pod nią podpisać.

- Nie no, co ty. Wszyscy jadą na piratach! - Zaśmiała się. Pomyślałem, że się ze mnie zgrywa, bo generalnie to była z niej żartownisia jakich mało i lubiła wszystkich ostro dziadziusiować, ale tym razem mówiła poważnie.

W ciągu paru minut zaprzęła Sebę ze zjebanym łokciem żeby mi wszystko zainstalował. Dałem mu lapka, podpiął mi swój dysk przenośny z milionem folderów, no zaczęliśmy szukać tych odpowiednich, w dół listy. Illustrator, Imagine Dragons, Incepcja, In Design, India Summer. Spojrzałem kątem oka na tą ostatnią i prychnę pod nosem, co nie uszło jego uwadze.

- Co jest? - Zapytał speszony.

- Nic, nic. Imagine Dragons, kojarzę ich, mieli ten głośny singiel, Radioactive.

- Noo, pamiętam! Hit lata! A słyszałeś ich nowsze piosenki? Ale oni zmienili brzmienie!

Pogadaliśmy jeszcze trochę o tym i owym. W sumie spoko ziomek, przy czym gust pornograficzny na pewno miał lepszy od muzycznego. Zapytał, czy mam jakieś doświadczenie z grafiką, na co odpowiedziałem mu, że liznąłem trochę Photoshopa za gówniaka, robiąc najprostsze możliwe projekciki na własny użytek.

- Aaa, to luz, odnajdziesz się w Illustratorze bez problemu. Jak coś, to pytaj o co chcesz.

No więc do końca dnia pytałem go o jakieś drobiazgi i sztuczki, mając na końcu języka jedno duże pytanie, którego w końcu mu nie zadałem, ale które spędziłoby mi sen z powiek, gdybym nie znalazł na nie odpowiedzi. Taa, jedno z tych.

Przypomniałem sobie o nim, gdy byłem już wpół drogi do domu. Stałem na poboczu i zapisałem je sobie w telefonie żeby mi czasem znowu nie uciekło, a gdy już wróciłem, odezwałem się do Ziemka, który jeśli pamiętacie, od zawsze był ostrym nerdem i z Kucem-maskotką pracowali nawet nad jakimiś gierkami swego czasu. Gdy chodziło o informatykę, to zawsze potrafił pomóc.

Zapytałem się go więc jak dodawać i odejmować od siebie kształty w Illustratorze.

- Aaa, chodzi ci o operacje booleanowskie! - Odpowiedział mi. - No, one są bardzo przydatne, w 3ds Maxie ciągle z nich korzystam. Generalnie to działają na zasadzie zbiorów, na których przeprowadza się konkretne funkcje matematyczne, dzięki czemu...

No chłopak na informatyce naprawdę się znał, a jako mól książkowy przy okazji miał gadane. Zwykle było to darem, ale w przypadkach prostych pytań wymagających prostych i szybkich odpowiedzi już niespecjalnie. Parę ładnych minut spędził, omawiając mi teorię zamiast wskazać miejsce, gdzie ukrywał się potrzebny mi przycisk.

- No dobra... ale gdzie ich szukać w Illustratorze? Bo szukam właśnie „boolean” i nic nie widzę. - Zasepiłem się, przejrzawszy każde jedno rozwijane menu górnej belki.

- Window w górnej belce, potem Pathfinder.

- A w polskiej wersji jak to może się nazywać?

Okazało się, że „filtry ścieżek”. Super tłumaczenie kurwo.

Pierwsza okazja do przetestowania moich nowych skillsów graficznych nadarzyła się nie dalej niż tydzień później. Dostaliśmy zlecenie przygotowania modelu 3D butelek nowej linii produktów do mycia podłóg. Jako że ja byłem dopiero nowicjuszem wśród nowicjuszy, przypadło mi ledwie zadanie wstępnego przygotowania wektorowych projektów etykietek tak, żeby inni graficy nie musieli już się zbytnio z nimi bawić, tylko od razu mieć spójne template’y do dalszej pracy. Oczywiście jak to nowicjusz, jebnąłem siedem osobnych projektów zamiast jednego z kilkoma obszarami roboczymi, ale to nieważne. Projekty były, działały, ładnie zrobiłem im wcięcia filtrami ścieżek, nic nie zjebałem po drodze, sukces.

Śmieszne w tej historii jest natomiast to, że wytwórca tych płynów wysłał nam kurierem siedem pudeł swoich preparatów, w każdym chyba po osiem butelek, tak dla pewności, że gdyby jedna była uszkodzona czy coś, to będziemy mieli kilka ekstra zapasowych na wszelki wypadek. Okej, dobrze mieć plan B, plan C również, ale plan D, E i dalsze były mocno ekscesywne. Co mieliśmy bowiem zrobić z całym tym stosem pudeł?

- Chcesz trochę tych płynów? - Zapytała się mnie Zuzka, z którą sam na sam zostałem w biurze po pracy, spoglądając na wszystkie ich kartony ustawione przy ścianie

- No butelkę mogę wziąć do domu. - Rzuciłem.

- Butelkę? A co z pozostałymi pięćdziesięcioma?!

No właśnie, co?

Zuza wywiozła karton do domu swoich starych i parę butelek dla siebie i mojej siorki – nie było im pisane zużyć nawet jednej. Ja wziąłem dwa kartony i potem z mamą rozdawaliśmy po butli wszystkim znajomym, którzy tylko się napatoczyli. Jak ktoś przyszedł do mnie na film i pizzę, to wychodził w ręce z płynem do mycia paneli. Podobnie jak dziewczyny, nie zużyliśmy samodzielnie nawet jednej butelczyny.

Po butelce dostała też reszta pracowników, jako taki jednorazowy bonus zamiast podwyżki, a kolejny karton chyba dostał się właścicielowi mieszkania, w którym było nasze biuro, w ramach podzięków za wynajmowanie go naprawdę po kosztach, bo oczywiście był jednym z niezliczonych przyjaciół Zuzy, ale to też był agent jak chuj. Napiszę o nim parę słów nieco później.



Spotkanie teściów

W każdym poważnym związku nadchodzi moment, w którym jedna połówka przedstawia swoich rodziców rodzicom tej drugiej. Związek Izy i Zuzy osiągnął ten etap, gdy postanowiły razem zamieszkać, ale upłynęło sporo ścieków w naszej przysiedlowej rzece, nim do takiego spotkania doszło. Nie była to przelotna miłość, nie był to też jednorazowy eksperyment pod tytułem „jak by to było z kobietą”? Te dwie związały się na dobre i gdyby w Polsce małżeństwa tej samej płci były legalne, to jak nic byłyby już zaręczone.

Starzy Zuzy nie mogli dłużej ignorować tej miłości i modlić się po nocach, by szlag ją trafił, a ich córka wróciła w rodzinne strony, grzeczna i uległa, dając im się zeswatać z jakimś dobrze usytuowanym i koniecznie głęboko wierzącym chłopaczkiem. Byli fanatykami, ale nie ślepcami – widzieli, że córka nie tyle się od nich oddaliła, co wykurwiła z ich życia i kontroli na dobre, znajdując sobie nowych bliskich, którzy w przeciwieństwie do nich „aprobowali jej schorzone dewiacje, przyklaskiwali bezbożnemu sodomicznemu związkowi i uważali je za kompletnie normalne i naturalne”.

Skutek? W ciągu ostatniego roku Zuzia rozmawiała z rodzicami chyba nie więcej niż dwukrotnie – raz, gdy przywiozła im karton płynów do czyszczenia podłóg, i drugi, gdy zadzwoniła do niej nawiedzona matka oznajmiając, że Maryja Zawsze Kurwa we śnie ogłosiła jej, że jej pierworodna córka musi naprostować swoje życie i wrócić do Łukasza Rajzera, powijając mu czwórkę dzieci, inaczej pójdzie do piekła razem ze swoją bezbożną kochanką.

No, może „rozmową” bym tego drugiego nie nazwał, bo Zuzka rozłączyła się wtedy bez słowa i odmówiła dalszych kontaktów z pojebaną dewotką. Kurwa mać, przy niej stara Tymka wydawała się względnie normalna. Może miała jakieś zwidy i widziała cień Maryi za oknem, ale przynajmniej do niej nie przemówił.

Co za ludzie, ja pierdołę. Tacy powinni być zamykani w zamkniętych ośrodkach, słowo daję.

Po tym incydencie ojciec Zuzi wpadł na bardziej dyplomatyczny pomysł, jakim było pozorne naprawienie relacji z nią i późniejsze próbowanie kopania dołka pod jej miłością. Strategicznie, bez pośpiechu, bez ostrych słów potępienia i nakazów, które wyrażnie przynosiły efekty odwrotne do zamierzonych i tylko bardziej rozeźlały córkę, utwierdzając ją w

przekonaniu, że powinna trzymać się jak najdalej od krewnych, podczas gdy oni przecież chcą ją tylko uchronić przed grzechem.

Zaproponował więc, by Zuza wreszcie przedstawiła jego i żonę matce swojej wybranki, i jakkolwiek poroniony nie był to pomysł, wypadało, by takie spotkanie prędzej czy później się odbyło. Jak wizyta u dentysty albo złożenie PITu.

Ewelina ubierała się w łazience w jakąś nową, elegancką sukienkę ołówkową, podczas gdy ja dopinałem guziki koszuli, chodząc co chwila do okna, wypatrując gości. Drzwi została uchylona, co znaczyło że w razie potrzeby mogłem wejść żeby na przykład psiknąć się dezodorantem, bez obaw, że nakryję ją w bieliźnie. „*Albo bez*” - odpowiedział mi w głowie podniecony głosik Emila. Wszedłem do środka właśnie w tym celu i łapiąc za puszkę zobaczyłem, że mama poprawia sobie na wyciągniętej nodze nylonowe zmarszczki.

- Uuu, pończuchy! - Wydałem z siebie terkowy odgłos.

Śmiechliśmy nawet.

- Jak wyglądam? - Zapytała niepewnie.

- Uważaj, bo ojciec Zuzki dostanie jeszcze na twój widok zawatu.

- Bardzo mnie tym pocieszyłeś...

- Mamo, nie bój nic, wyglądasz zjawiskowo. Będzie dobrze. - Zapewniłem ją, nie wiedząc jeszcze, jak błędne miały okazać się ostatnie wymówione przeze mnie słowa.

Niedługo po naszej rozmowie na rewir wjechał więc czarny Mesiek klasy E, z którego wysiedli rodzice Zuzy. Sędzia Andrzej Marian Wesołowski miał elegancki garnitur wart więcej niż co drugi samochód zaparkowany przy naszej ulicy, jego żona równie drogą garsonkę i do tego włosy upięte w kok tak ciasny, że nie potrzebowała nawet czapeczki z folii aluminiowej żeby stymulować swój mózg. Gdyby w takim stanie kichnęła, to chyba oczy wyskoczyłyby jej z czaszki.

Po latach spółdzielnia zaczęła coś robić i przeistaczać osiedle w bardziej atrakcyjne miejsce. Ocieplono bloki, pomalowano je, w jednym nawet wymieniono balustrady z utylitarnych metalowych na szklane. Central Park za naszym blokiem też zrobił się miłą lokacją, gdzie nieironicznie można by spędzić trochę czasu. Dla tej dwójki było to jednak takie samo getto jak slamsy dla nas w czasach gimnazjum. Godne pożałowania mrowisko, w którym żył margines społeczny.

Nasze mieszkanie zrobiło na nich podobne wrażenie, bo od razu po przejściu przez próg, ojciec Zuzki powiedział Ewelinie:

- Macie państwo bardzo... ładne mieszkanie. - Przed czwartym słowem zrobił wyraźną pauzę i zaintonował je w taki sposób, że w jego ustach nabrało zupełnie odwrotnego wydźwięku.

Mama też to wychwyciła, ale nie dała po sobie niczego poznać i zaprosiła gości do dużego pokoju, gdzie usiedliśmy w szóstkę. Ja między Ewelina i matką Zuzy, moja siorka między mamą i ukochaną, Andrzej między córką i żoną. Rozmowa mocno się nie kleiła i była wyjątkowo niezręczna dla wszystkich obecnych. Ja byłem w o tyle luksusowej sytuacji, że nikt szczególnie się mną nie interesował i nie zadawał mi pytań. Cała uwaga gości była zwrócona w Ewelinkę, która grzecznie, acz chłodno, odpowiadała na każde ich pytanie. Nie mam pojęcia, czy chcieli ją

w jakiś sposób upokorzyć, czy oczekiwali, że ta zarumieni się ze wstydu, zrozumiałwszy kryjący się w nich krytyczny podtekst, ale nie dała im się.

- Zuzanna nie wspominała nam czy ma pani partnera.

- Jestem rozwódką. - Odparła pewnie, bez nutki niepewności w głosie, przemilczając to, że akurat miała chłopaka.

- Och, przykro mi to słyszeć. Na pewno rozwód musiał być dla Państwa bardzo stresującym doświadczeniem.

Zuza szturchnęła ojca, patrząc na niego z furią w oczach.

- Rozwody są z natury stresujące, nieprawdaż?

- Mama zrobiła to, co było najlepsze dla naszej rodziny. - Dodałem, a Izka ze swojej strony ujęła ją za rękę, by dodać nieco otuchy i pokazać nieformalnemu teściowi, że wszyscy troje stoimy za sobą murem.

Na parę minut się uspokoił, ale nie trwało to długo. Gdy znowu poczuł się pewnie, myśląc, że nasza proletariacka czujność została uspijona, wznowił ofensywę:

- Proszę wybaczyć mi śmiałość, ale wygląda pani wyjątkowo młodo. - Powiedział Ewelinie, co znaczyło ni mniej, ni więcej tyle, że uważał, że musiała urodzić dzieci ZBYT wcześnie. Co było poniekąd prawdą, ale nawet jeśli, to z całą pewnością nie był to jego interes.

- Och, dziękuję panu. - Zachichotała Ewelina w taki sam obrzydliwie słodki sposób, w jaki jej córka wkurwiła Janusza-homofoba podczas poszukiwania miłosnego gniazdka. - Przy naszych dziewczętach w pobliżu zawsze czuję się jeszcze młodziej. Wręcz promieniają pozytywną energią. Macie państwo podobnie?

Rozmówca pokręcił wąsem, bo mimo że mama odpowiedziała mu kulturalnie, to wcale nie okazała wstydu z powodu zajścia w ciążę przed osiemnastką. Przeciwnie, figlarnie śmiała sobie drwić z jego katolickiej powagi prawie tak samo, jak on próbował drwić sobie z niej. Żart polegał na tym, że dziewczyny nie jeździły do nich w odwiedziny o ile nie było to absolutnie konieczne. Unikały ich, o czym wiedzieliśmy wszyscy.

- Sama prawda, proszę pani. - Przemówiła z wyższością matka Zuzy, widząc, że jej mąż został zgaszony, ale nie wiedząc, że jest tak kurewsko ograniczona umysłowo, że sama każdym słowem będzie kopać sobie dołek. - Kto mógłby się spodziewać, że tak potoczą się koleje ich losu? Pamiętam, jaka byłam zaskoczona, gdy Zuzanna wyznała nam, że zerwała ze swoim dotychczasowym chłopakiem i teraz randkuje z dziewczyną.

Siedząca obok Zuzka była na skraju wybuchu i gdyby nie trzymała ją w talii partnerka, to podejrzewałem, że mogłaby się na starych rzucić z widelczykiem do ciasta w ręce.

- Odkąd pamiętam, miałyśmy z Izą świetne relacje, więc jedyne, co czułam, gdy powiedziała mi o Zuzi, to radość. Później również dumę, gdy się poznałyśmy i miałam okazję zobaczyć jak wspaniałą młodą kobietą jest.

Szach-mat, matka Zuzy sama zaorała się na modłę korwinisty wybiegającego z płaczem w połowie udzielanego wywiadu i później udającego, że w ten sposób zaorał domniemanego lewackiego dziennikarza.

Podczas tego popołudnia rodzice Zuzy nie próbowali już specjalnie fikać, widząc, że wiele nie wskórają i ani nas nie poniżą, ani niczego nie „nauczą”. Jedynym wyjątkiem było to, jak sędzia Andrzej Marian Wesołowski powiedział Ewelinie, że ma bardzo odważną fryzurę, co oczywiście komplementem w jego ustach nie było.

- Mnie też bardzo się podoba, tatusiu. - Uśmiechnęła się Zuzka, wstrzykując tyle jadu w ostatnie słowo, ile tylko mogła. - Może też sobie taką zrobię? Dasz mi namiary na swoją stylistkę, MAMO?

Pytanie to skierowała oczywiście nie do swojej matki, a do Eweliny.

Mózg mi rapował tak, że czułem się, jakbym oglądał jakiś film, a nie siedział w jednym pomieszczeniu z całą tą zbieraniną zupełnie niekompatybilnych osób, które z każdym wypowiedzianym zdaniem dolewały coraz to więcej oliwy do ognia.

- No wiesz, ładnemu we wszystkim ładnie, artystko ty moja! - Iza cmoknęła dziewczynę w policzek, próbując chociaż trochę deeskalować napięcie, po czym odwróciła głowę do nieformalnej teściowej. - I skoro mowa o artystach, to Zuzia wspominała mi, że jest pani bardzo utalentowaną malarką!

Kobieta uśmiechnęła się nieco, chyba wyczuwszy, że szybkie myślenie Izki wyratowało sytuację i pozwoliło uniknąć jakiejś paskudnej wymiany zdań.

- Ach... tak... w wolnym czasie uwielbiam malować. Moją specjalnością są portrety. - Odpowiedziała z dumą, chełpiąc się tym, jak Iza

Nie do końca kłamała, ale na pewno całej prawdy nam nie wyjawiała. Widzicie, „wolny czas” w jej mniemaniu nie miał tego samego znaczenia co dla nas, bowiem ani nie pracowała, ani nie musiała wykonywać zbyt wielu domowych obowiązków – od tego miała sprzątaczkę, która przyjeżdżała dwa razy w tygodniu żeby wszystko ogarnąć. Była taką prawdziwą Alutką z Rodziny Zastępczej, tylko w kurwę mniej sympatyczną, i z dużo bardziej wywindowanym ego, o ile to w ogóle możliwe. Gdy mówiła więc o „czasie wolnym”, miała na myśli co najmniej dwanaście godzin każdego dnia, z przerwami na sen, posiłki i regularne msze.

Druga sprawa to portrety; słowo-klucz, bowiem rzeczywiście, na swój sposób specjalizowała się w nich. Bo poza nimi nie malowała niczego innego. Próbowwała kiedyś podobno kreować jakieś panoramy inspirowane najpiękniejszymi momentami biblij, na przykład plagami egipskimi, rzezią niemowląt czy oczywiście zniszczeniem Sodomy i Gomory, ale nie wychodziły jej tak, jakby tego chciała, i były zbyt pokurwione, by ktokolwiek poza death metalowymi zespołami szukającymi okładek dla swoich albumów był nimi zainteresowany.

Portrety w jej wykonaniu przedstawiały Maryję, zawsze i bez wyjątku malowaną w identyczny sposób, różniące się od wcześniejszych prac tylko detalami. Na przestrzeni lat spłodziła ich chyba dziesiątki, rozdając wszystkim znajomym i proboszczom w okolicy, by mogli je sobie wywiesić nad kominkami, reszta natomiast piętrzyła się w jej pracowni. Graliście kiedyś w Layers of Fear? W jego końcówce pojawia się mały składzik zajebany bez reszty identycznymi obrazami – i właśnie tak wyobrażam sobie kolekcję prac matki Zuzy. Ona nie tworzyła, ona odtwarzała w kółko to samo, jak automat wręcz, wkładając w proces mniej myśli, niż co poniektórzy kreatorzy wszystkich tych bezwartościowych i pozbawionych krzty artysty NFT.

Spotkanie ciągnęło się jeszcze z pół godziny, raczej niewiele więcej, bo poza manufakturą maryjnych portretów w domu teściów Izy, nie znaleźliśmy tematów, na które mogliśmy z nimi porozmawiać. Nawet z czystej grzeczności.

Dowiedziawszy się o nas tego, czego chcieli, pożegnali się, wsiedli do Mercedesa i wydawało mi się, że jeszcze przed odjazdem psiknęli sobie na ręce jakiś płyn dezynfekujący, no ale nie zapytałbym przecież Zuzy czy tylko mi się to przywidziało, bo i bez tego była w koszmarnym stanie. Odkąd się poznaliśmy, na palcach jednej ręki mógłbym wyliczyć momenty, gdy widziałem ją szczerze smutną, z czego dwa były kryzysowymi przypadkami, gdzie była bliska płaczu. To był pierwszy z nich.

Dziewczyna trzymała się dopóki, dopóty w pobliżu byli jej rodzice, by nie dać im satysfakcji z tego, że bez reszty ją upokorzyli. Chodziła chwilę rozjuszona jak osa przed blokiem, po czym wróciła do mieszkania i ze łzami w oczach zaczęła nas przepraszać za wszystko, jakby było to jej winą. Wiedziałem, jak się czuje – zupełnie tak, jak ja i siostra po tym, jak ojciec odwalił coś publicznie po pijaku.

- Przepraszam was... wiedziałam, że nie powinnam była pozwolić, by to spotkanie się w ogóle odbyło. Co wy musicie teraz o mnie myśleć... - Zakwiliła.

- Myślę, że cię kocham. - Pocieszyła ją Iza, przewieszając przez jej ramiona ręce. - I przy okazji że zachowałeś się dzisiaj bardzo dojrzałe. Jestem z ciebie dumna.

- Nieźle się przed wami ośmieszyłam co? - Odpowiedziała po dłuższej chwili, ciągnąc nosem, ale wciąż nie dając łzom spłynąć po rumianych policzkach. - Wy z waszą mamą macie zajebiste relacje, a tu zjechała się moja rodzina i od pierwszych minut próbowała was wytykać palcami, jakby... jakby...

- Cii... spokojnie...

- I, cholera jasna, jeszcze nazwałam waszą mamę „mamą” żeby dożyć ojcu...

- Mogę się wtrącić, dziewczyny? Chciałam akurat zamienić z Zuzią dwa słówka na ten temat. - Zapytała Ewelina, podchodząc bliżej.

- Kurczę, naprawdę panią przepraszam, nie wiem, co mnie poniosło... - Wyjąkała szwagierka.

- Hej, spokojnie. Nie masz za co przepraszać. Chciałam ci tylko powiedzieć, że sama powinnam była wyjść wcześniej z inicjatywą żebyśmy przeszły na „ty”, albo na „mamę”, jak wolisz. Najwyższa pora, co? - Uśmiechnęła się i położyła jej dłoń na ramieniu.

Zuzka nie mogła dłużej tłumić napływających jej do oczu łez. Pozwoliła im cieknąć.



Zapytania przetargowe

Szczerze pierdolę zapytania przetargowe, a musiałem zapoznawać się z przynajmniej kilkoma każdego dnia, bo w dużej mierze na tym polegała moja praca. Jak nastawał sezon expo, to od razu wykwitało ich milion, każde gorsze od poprzedniego. Już wyjaśniam o co chodzi – Unia Europejska ma fundusze dla przedsiębiorców, którzy chcą wystawiać się na targach. Delikwenci zgłaszają swoje zapytania w poszukiwaniu wykonawców, a jeśli ci się znajdą, to Unia daje kasę, a oni zabierają cztery litery i w drogę na taki event. Oczywiście jak ktoś powie

„fundusze unijne” to od razu zlatują się największe Janusze, które nie tylko nie mają czego na targach pokazać, ale nawet gdyby miały, to nie wiedziałyby jak, co później skutkuje zjebanymi zapytaniami ofertowymi, których nikt nie chce tykać kijem przez szmatkę.

Do najczęstszych patologii należą jakieś wyjebane w kosmos kary umowne za niedotrzymanie warunków. Czyli to, z czym prawie zetknęliśmy się przy drukowaniu rastrowych logotypów na namiocie. Nieważne, że projekt ma wartość czterdziestu tysięcy, kara będzie pół miliona, bo ktoś wcześniej już taką ustalił i on się wystawiał, więc ja też mogę, c’nie?

Druga patologia to wymaganie od agencji reklamowej licencji transportowej. No ja jebię, a po co nam niby ona? Naszą robotą było zrobienie wyceny, pierdolnięcie projektu i jeśli wygralibyśmy przetarg, to zaprzęgnięcie do realizacji firmy brata Zuzy w formie podwykonawców. My nie transportowaliśmy, kurwa, żadnych rzeczy. Ale weź to wyjaśnij Januszowi... albo wróć, wyjaśnić by się dało, bo to żadna głęboka filozofia, ale już złożonych zapytań ofertowych zmieniać nie można, bo inaczej nici z datków unijnych. Także widzicie, błędne koło.

Trzecia patologia bezmyślnie napisanych zapytań ofertowych to system oceny złożonych propozycji wedle tylko i wyłącznie jednego kryterium – czyli ceny, bo w końcu mówimy o Januszach Biznesu, prawda? Co w tym złego, zapytacie? Ano to, że żadna lokalna agencja nie może konkurować z bezpośrednim organizatorem targów, który może złożyć z takich wielgachnych prefabrykowanych klocków stanowisko w godzinę-dwie. Zero kosztów transportu, materiały są wielokrotnego użytku, więc i ich kosztą rozkładają się na wielu klientów; jedynym mankamentem jest pozbawiony jakiegokolwiek charakteru wygląd takiego stanowiska. No ale skoro jedynym wyznacznikiem dla Janusza jest cena, to chuj w to, jak stanowisko wygląda, ważne, że jest i ważne, że jest kasa z Unii.

W przypadkach, gdy zlecniodawcy udało się uniknąć trzech powyższych natychmiastowych czerwonych świateł, przystępowaliśmy do głębszej analizy jego zapytania. I skoro patologie były trzy, to prawdziwe soczyste inby też opiszę wam trzy.

Pierwszym komicznym zleceniem był jakiś projekt małego stoiska wystawienniczego, które szykował Seba. Na tym swoim dysku przenośnym poza chujową muzyką, pirackim oprogramowaniem i pornolami, miał bibliotekę modeli do Sketcha, od stołków, przez doniczki, po lamy i oświetlenie, dzięki czemu mógł zrealizować po kilka różnych projektów na dzień, jeśli zaszłaby taka potrzeba.

Zuza była akurat w biurze i poprosiła żebym przyjrzał się jak mu idzie, bo w pół dnia nawet nie pokazał nam prototypu. Czula swoim noskiem, że coś jest nie tak.

Podszedłem, zagadałem do niego i okazało się, że nie ma kanapy, która pasowałaby do jego wizji. Nie znalazł nic nawet delikatnie podobnego w swoim zbiorze, nie znalazł w sieci, no i zastanawiał się, czy by czasem nie wymodelować jej od zera po godzinach.

- Nie, klientowi trzeba wystać przynajmniej jeden render dzisiaj. Ty weź mi naszkicuj co masz na myśli, pomogę ci szukać jakiegoś pasującego modelu.

Wziął kartkę, narysował, podał mi ją. I w tym momencie, widząc jego roboczy szkic, doznałem olśnienia.

- Daj mi chwilę. - Powiedziałem mu, po czym wziętem swojego lapka i odpaliłem na nim GTA Online. Napierdalałem w nie w tamtym okresie z Emilem, który wymyślił sobie, że skoro są w nim wytwórnice narkotyków, to może bez przypału komunikować się w grze ze swoimi realnymi klientami, jak możecie pamiętać.

Poczekaliśmy parę minut, aż gra się załaduje, po czym pojechałem do swojego cyfrowego biura i wskazałem Sebkowi kanapę stojącą przy jednym oknie z widokiem na plażę Los Santos.

- No o taką właśnie mi chodzi! Identyczną! - Rozentuzjasmował się na jej widok.

W pół godziny nauczyłem się wyciągania z gry modeli 3D z teksturami, i udało nam się kanapę zaimportować do Sketcha. Sebek zajął się pracą, a mnie szwagierka wzięła do biura w ważnej sprawie.

We dwoje nakurwialiśmy w GTA prawie do końca dniówki.

Druga inba była już mniej przyjemna, ponieważ znowu zagroziła nam na horyzoncie umowna kara za niedotrzymanie umowy. Jak już napomknąłem, brat Zuzy z jednym ziomkiem współwłaścicielem mieli firmę remontowo-budowlaną, która oprócz tego robiła nam stanowiska wystawiennicze jak było trzeba. Ogólnie to typ był takim Tuziakiem i nie cierpeli się z siostrą, którą uważał za degeneratkę i grzesznicę, ale jego partner finansowy figurował na jej niekończącej się liście przyjaciół, więc mogliśmy liczyć na współpracę.

Dostali od nas do zrealizowania projekt stanowiska w namiocie, na modłę tego pierwszego, z którym się spotkałem w nowej pracy. Wszystko spoko, ale zostawili jeden detale na ostatnią chwilę, bo nie mieli materiałów w swoim magazynie. Mowa tutaj o podłodze, którą miała być gruba płyta MDF, i którą chcieli odebrać z jakiegoś marketu budowlanego już w drodze do Niemiec, gdzie targi miały się odbywać.

Dostałem zadanie zamówienia jej na kilka godzin przed ich planowanym wyjazdem.

Zajrzałem do map Google, wyszukałem wszystkie Leroy Merliny, Castoramy, Bricomany i Obi na trasie ich przejazdu, no i zaczęło się wydzwanianie. W pierwszym sklepie nie mieli w ogóle płyt o sprecyzowanej w umowie grubości. W drugim były wyprzedane. W trzecim mieli tylko jakieś małe przycięte płytki o wielkości może pół na pół metra. W dziesięciu kolejnych też nic. W dwudziestu również. Po grubo ponad godzinie dodzwoniłem się wreszcie do wydziału drewnianego jednego marketu i pogadałem z majstrem. Wyjaśniłem mu czego potrzebujemy, przyrzekłem, że jestem poważny i nie robię sobie jaj, i powiedziałem, że jest taka a nie inna sytuacja i nie mamy jak bezpośrednio kupić tych płyt osobiście, na miejscu. Chłopina był w porządku, bo obiecał, że przytnie nam te płyty i jak przyjedzie po nie ekipa, to im je wyda. Wystarczy tylko zadzwonić.

Wszystko pięknie, ładnie, tylko nie dał mi żadnego numeru zamówienia ani niczego, a ja o niego zresztą nawet nie pytałem, no bo weź tu z anonem gadaj.

Nadeszła godzina wyjazdu, zadzwonił do nas Tuziak i zapytał co z tymi płytami. Zuzka dała mnie do telefonu i powiedziałem mu co i jak. A ten do mnie z mordą od razu:

- Jak ja mam gadać z jakimś majstrem, czasu nie ma, daj mi numer zamówienia.

Jak usłyszał że nie mam, bo i tak wszystko cudem udało mi się w ogóle załatwić, to myślałem, że go rozjebie od środka. Zaczął się drzeć do słuchawki, wyzywać, kląć, grozić siostrze i obiecywać, że jak nie będzie tych płyt w sklepie, to przyjedzie do biura i nam napierdoli obojgu.

- Uspokój się, wszystko jest w najlepszym porządku. Mamy numer do tego marketu, a jak nam nie wierzysz, to możemy tam zadzwonić dla pewności. - Uspokajała go Zuza.

Kazał nam zadzwonić.

Jeden sygnał, drugi, piąty... nic. Nikt nie odbierał. Zadzwoniłem drugi raz. I trzeci. I ciągle, kurwa, nic. Trochę przypał, bo sami zaczęliśmy się denerwować. Wiecie, jak to jest, jak ktoś zaczyna wam coś wmawiać i przestajecie czuć się pewnie nawet, jeśli do tej pory wszystko wydawało się okej? Kolejna próba, nikt nie odbierał.

Oszczędzę wam dalszych opisów. Dodzwoniłem się w końcu pod sam koniec dniówki do wydziału metalowego w tym markecie, gdzie powiedzieli mi, że majster-stolarz skończył robotę parę godzin wcześniej, ale zostawił jakieś płyty na widoku i że jak to dla nas, to oni nawet mogą je pod kasę przywieźć żeby ekipa nie traciła czasu.

Słowa „przepraszam” od Tuziaka nie usłyszeliśmy. Powiedział nam tylko przez telefon, że mamy kurwa szczęście i się rozłączył.

Ostatnia akcja przetargowa również była ściśle związana z drewnem. Naszym klientem była firma produkująca jakieś uchwyty do trzymania płyty, i wymyślili sobie w przebłytku kreatywnego geniuszu, że na środku swojego stanowiska wystawienniczego chcą betonowy blok długi na dwa metry, szeroki na jeden i wysoki na pół, do którego ich produkty miały zostać przyłączone żeby pokazać gościom, że trzymają się każdej powierzchni!

Tak jest, betonowy blok.

Betonowy, kurwa, blok.

Targi miały odbywać się chyba w Norwegii, w dodatku w może tydzień od momentu, gdy firma wrzuciła do sieci swoje zapytanie. Nie było szans, by zrobić taki blok, bo nie zdążyłby wyschnąć do czasu expo. A nawet jeśli magicznie stęzałby w tydzień, to nie było jakiegokolwiek możliwości, by go przewieźć na miejsce, bo ważyłby więcej, niż wynajęty na podróż dostawczak.

Reszta zapytania ofertowego nie była zła i dawała nam nadzieję na to, że moglibyśmy zrealizować takie zlecenie, więc zadzwoniłem do tej firmy i zapytałem sekretarkę, czy blok może być wykonany z innego materiału, tłumacząc jej dlaczego beton odpada. Trochę strachła, bo wiedziała, że Unia będzie robić problemy, jeśli coś w zapytaniu zmieniają, a jednocześnie szef jasno jej powiedział, że on chce się wystawiać i ma zrobić tak żeby się wystawiał, bo inaczej jak wróci z wakacji na Teneryfie, to będzie miała osobiście przejebane. Dziewczyna wpadła więc na pomysł kompromisu, którym było zastąpienie fizycznie niemożliwego do ogarnięcia betonu drewnianym kłosem o tych samych wymiarach. Nadmieniła tylko, by nie składał się ani z mniejszych elementów ani nie był w środku pusty, bo Unia chyba by im za to ostro dojechała.

Poszedłem do Zuzki, pogadaliśmy na temat możliwej alternatywy i dała mi zielone światło żebym podzwonił po jakichś tartakach i składach drewna, czy czasem nie mają jakiegoś drzewa, z którego dałoby się wystrugać kłosa metr na dwa. Obdzwoniłem chyba każdy jeden w

województwie i co drugi rozmówca myślał, że albo sobie z niego żartują, albo jestem konkretnie pierdolnięty.

Straciwszy prawie całą swoją nadzieję, dodzwoniłem się w końcu do jakiegoś dziadka Przemka, który na OLXie albo w podobnym serwisie pisał, że ma do sprzedania jakieś większe pale. Pogawędziliśmy, poprosiłem go, żeby wymierzył ten pniak, wyszło, że się nada do tego celu i obiecałem, że odezwę się za parę dni, jak przetarg oficjalnie się zakończy.

W międzyczasie firma od uchwytych do trzymania pyty zrezygnowała z udziału w targach, bo Unia chyba nie dała im kasy, no i całe to szukanie na nic się zdało.

Także szczerze pierdolę zapytania przetargowe.



Kemping

Jak już wam wyjaśniłem, jeśli nadarzała nam się okazja do zorganizowania komuś wyjazdu na expo, to budową stoiska zajmowała się firma Tuziaka. On wysyłał na miejsce swoją ekipę, która budowała stanowisko w nocy przed targami i rozbierała je od razu po zamknięciu bram, byle spędzić na wyjeździe jak najmniej czasu, bo oczywiście zgodnie z niemieckim prawem dniówka w Niemczech wymagała niemieckiej pensji.

Pamiętam, że realizowali jakoś kilka projektów jednocześnie i nie mogli oddelegować na nasz użytek w Niemczech całego zespołu, więc Zuza pociągnęła za parę sznurków i zwerbowała jakiegoś swojego kolegę, który robił na budowie, i poprosiła go żeby zabrał się z pozostałymi. Na doczepkę pojechałem też ja, bardziej po to, żeby liczba pracowników się zgadzała niż żeby cokolwiek tam robić. Taki sztuczny tłum, wiecie, bo tamtych trzech Bonusów ogarnęło wszystko samodzielnie, a ja poza wyładowaniem z furgonu paru pudeł z gadżetami reklamowymi klienta nie musiałem nawet kiwnąć palcem.

Zuza również miała z nami jechać, bo klient życzył sobie właśnie jej obecności na miejscu pierwszego dnia, w razie, gdyby coś się działo. Po co? Nie wiem, ale taki był zapis w umowie. Klient nasz pan.

Ekipa Seby miała w zwyczaju spać w dostawczaku, zawinięta w śpiwory, bo nie chcieli tracić kasy na hotele. Zuza może była wariatką, ale nie pasowała jej wizja nocowania z czterema typami jak w jakimś cygańskim wozie. Zaproponowała mi więc żebyśmy wynajęli sobie jakieś pokoje w pobliżu targów. Oczywiście niczego nie znalazłem, wszystko bez wyjątku było już pozajmowane, bo do startu mieliśmy może dwie doby, jeśli nawet nie mniej. Pustka totalna, na Bookingu w promieniu kilkunastu kilometrów nic, a w promieniu kolejnych kilkudziesięciu ceny wywindowane w kosmos. Z jednym wyjątkiem, jakimś wiejskim zajazdem niecałą godzinę drogi od expo. Haczyk? Pokój był jeden i musielibyśmy spać w nim we dwoje. Okej, łóżka miały być niby dwa, więc uznaliśmy, że to żaden problem i zabukowałem nas.

No więc wyjechaliśmy do Niemiec na tych parę dni, znaleźliśmy ten zajazd, stojący na środku absolutnego wygwizdowa, które gdyby nie niemieckie znaki i szyldy, mogłoby uchodzić za jakąś polską wieś, która dostała zastrzyk gotówki na modernizację z unijnych środków, i wybudowano w niej nawet Lidla, bo co, kurwa, stać ich teraz.

Jak się okazało, zdjęcie z Bookinga było mocno nieaktualne, a dworek ostro zarastał z jednej strony jakimiś pnączami, a z drugiej jedno jego skrzydło było albo remontowane albo rozbierane, trudno powiedzieć. Drogi podjazdowej nie było, były tylko koleiny i wertepy, które mogłyby robić za mapkę w Spintires, wyjeżdżone przez ciężarówki wywożące gruz. Nie kręciliśmy zbyt długo nosami, bo mieliśmy spędzić tam ledwie jedną noc, więc jakoś dałoby się to wytrzymać, prawda?

Przestąpiliśmy przez próg przybytku, no i jeśli do tej pory nie zapaliły nam się w głowach lampki ostrzegawcze, to teraz na pewno zabłyśły. Wszystko zajebane było jakimiś narzędziami i materiałami budowlanymi. Tutaj wór z betonem, tam paleta kafelków robiąca za stół do kawy i szpula kabla będąca siedziskiem, a w rustykalnym parasolniku metrowe wiertła i jakiś kurwa łom. W powietrzu unosił się stęchły zapach grzyba, starości i ciętego metalu.

No ale okej, mieliśmy spędzić tam ledwie jedną noc, więc jakoś dałoby się to wytrzymać, prawda?

Powitała nas właścicielka, na oko stuletnia starowinka ledwo trzymająca pion mimo laski, która zaprowadziła nas do naszego pokoju. Otworzyła nam drzwi, omietliśmy wzrokiem pomieszczenie i dotarło do nas od razu, że stało w nim tylko jedno łóżko, w rozmiarze królewskim. W ofercie pisało o dwóch jednoosobowych, no ale chuj tam, mieliśmy spędzić tam ledwie jedną noc, więc jakoś dałoby się to wytrzymać, prawda?

Dałoby, gdyby przez środek sypialni nie przebiegł w tym momencie pierdolony karaluch wielkości piłeczki pingpongowej. Zuzka w pisk, rzuciła mi się w ramiona jak Scooby Kudłatemu albo odwrotnie, a babcia śmiechła z wielkomiejskiej panny i pokuśtykała popołować laską na karaczana, próbując go rozgnieść.

Uciekliśmy czym prędzej z tego zajazdu, wskoczyliśmy do fury i wio, przed siebie. Wyjebaliśmy na trasę i zatrzymaliśmy się na pierwszym lepszym poważniejszym parkingu. Jeśli ktoś nie wie, to w zachodnich Niemczech i Francji do turystyki i wyjazdów wakacyjnych przykładą się dużo większą wagę niż u nas, więc przy autostradach nie brakuje jakichś zacisznych dużych parkingów (nierzadko z mniejszymi atrakcjami), na których można się kimnąć przed wyruszeniem w dalszą drogę. Anabella pokazywała nam w czasach gimnazjum fotki z jakiegoś grzybowego wesołego miasteczka, które odwiedziła przypadkiem z rodzicami. Stanęli na pierwszym lepszym pustym parkingu przy trasie żeby się odlać, tylko po to, by zobaczyć, że obok jest kolorowa brama, a za nią kolorowe grzybowe domki, kolorowe huśtawki, kolorowe piaskownice i kolorowe karuzele. Na naszych parkingach kolorowe to można było znaleźć co najwyżej gówna i paczki po szlugach. No ale zbaczam z tematu.

Z Zuzą postanowiliśmy spędzić noc na tym parkingu, bo nie daliśmy rady znaleźć już żadnego hotelu, motelu czy czegokolwiek innego, gdzie byłyby jakiegokolwiek wolne miejsca. Oboje byliśmy wykończeni po wielogodzinnej jeździe i wizja postoju w takim cichym, cywilizowanym miejscu była dla nas naprawdę kusząca. Nawet mimo tego, że planowaliśmy spać w jebanej trzydrzwiowej Civicce szóstej generacji.

Przejrzeliśmy bagaże żeby zobaczyć, czy nie mamy jakichś ciuchów, którymi moglibyśmy się okryć, ale nie. Ona miała jakieś eleganckie koszulki i spódniczki, ja natomiast ledwie jedną sportową marynarkę, którą finalnie mieliśmy się okryć oboje.

Nadszedł zmierzch, zjedliśmy kolację składającą się z burgerów kupionych w budce na obrzeżach parkingu i resztki herbatki z termosu Zuzy, wgramoliliśmy do fury przez bagażnik, i przez kolejnych, zdawało mi się, kilka godzin, wierciliśmy się, próbując bezskutecznie znaleźć jakąkolwiek pozycję, która nie byłaby skrajnie niewygodna.

Cyk! Wybudził mnie błysk flesza, zapytałem głośno co się dzieje myśląc, że może to niemiecka policja, a Zuzka śmiechła ze mnie i pokazała mi fotkę, na której niby się ze mną obściskuje i daje buziaka w policzek. Zrobiła jeszcze takich z pięć, wszystkie potem wysłała mojej siostrze z jakimiś sprośnymi wiadomościami typu „uwiodłam ci brata” albo „zakazane owoce smakują najlepiej”.

Minęła minuta, jej telefon zaczął wibrować. Dzwoniła oczywiście Iza.

- No hej, kochanie... - Powitała ją rozradowana Zuza.

- Czy wy... śpicie w samochodzie? - Usłyszałem przytłumiony i wyraźnie zaspany głos jej rozmówczyni.

- No. Jest wygodnie. Prawie. Ale dotrzymujemy sobie towarzystwa, wzajemnie się ogrzewamy, wiesz, jest klimacik.

- To cieszę się bardzo. Jak wrócisz z targów to możesz sobie na dobre urządzić sypialnię w samochodzie, skoro tak ci się w nim podoba.

Jak ja wtedy kurwa prychnąłem, to myślałem, że zawału dostanę. W sumie one obie też się wtedy popłakały ze śmiechu po tej riposie.

Nigdy nie wyjawiliśmy nikomu, że musieliśmy nocować w furze. Aż do tej pory tylko my troje znaleźliśmy prawdę. Cała reszta była przekonana, że spaliśmy w zajeździe tak, jak zakładał plan.

Ale najlepsze jak rano Zuzka poprosiła żebym stanął na czatach przy drzwiach do kibla, bo chciała jakoś się odświeżyć. W sensie przebrała, umyła i wystylizowała włosy, a na koniec wskoczyła rozkrokiem na umywalkę żeby wypucować sobie kizię.

Wyślijcie, kurwa, polaczków za granicę.



Wyceny

Kontynuując temat przetargów, wkurwić potrafią też mocno wyceny. Oszacowanie kosztów materiałów to żaden problem, wystarczy poszukać w sieci najtańszych dostępnych. Podobnie sprawa ma się z konkretnie sprecyzowanymi usługami. Gorzej jednak, gdy coś jest tak ogólnie opisane w zapytaniu ofertowym, że nie sposób nawet orientacyjnie określić ile mogłoby kosztować. Wtedy truje się dupy wyspecjalizowanym firmom, które na oko może coś wycenią.

Zuza znalazła jakieś zapytanie państwowe, co znaczyło ni mniej, ni więcej tyle, że nie zostało sklejone w całość przez jakiegoś idiotę, który nie wie nawet co i po co kopiuje, a jego kryteria i wymagania były ciężkie, ale w gruncie rzeczy możliwe do spełnienia. Z wyjątkiem jednej linijki.

Rozchodziło się o reklamy w lokalnych gazetach, z których każda miała mieć, dajmy na to, 50 tysięcy jednorazowego nakładu. Po pięciu minutach w Google stwierdziłem, że taki nakład to ma ledwie kilka ogólnokrajowych gazet, w tym połowa to tabloidy.

Telefon do ręki, zadzwoniliśmy z pytaniem, tłumacząc, że prasa drukowana ukazuje się w coraz to mniejszych ilościach i że nie ma możliwości spełnić narzuconego warunku. Miłe panie z muzeum, bo to muzeum opublikowało zapytanie, obiecały powiedzieć o tym dyrektorowi i zapytać się go co robić. Dostaliśmy po godzinie odpowiedź, że nakład fizyczny może być mniejszy, ale musimy zadbać za to o reklamy online w większej ilości. Spoko, jednak co państwówka to państwówka.

Przy okazji próbowaliśmy wyciągnąć trochę informacji na temat niesprecyzowanych w zapytaniu podstawowych detali, które ułatwiłyby nam działanie i kontakt z innymi firmami czy mediami. Cały projekt był jednak spowity kompletną tajemnicą i w ramach równych szans odmówiono nam wyjaśnienia czegokolwiek. Niby fair play, rozumiem, ale weź tu, kurwa, rób coś w ciemno, nie mając nawet pojęcia do jakiej grupy wiekowej kampania miałyby być skierowana. Ba, weź tu, kurwa, rób cokolwiek, widząc jak niewydajny i niepotrzebnie ociążały jest taki system.

Zaczęło się więc wydzwanianie do gazet i do radiostacji, na dobrą sprawę nie wiedząc nawet czego od nich potrzebujemy.

- Dzień dobry, dzwonię z agencji Viszą & Viszą z prośbą o dokonanie wstępnej wyceny kampanii reklamowej w Państwa radiu.

- Oczywiście, nie ma problemu. Do jakiej grupy docelowej chcecie kierować reklamy?

- Nie wiem.

- Och... a może orientuje się pan w jakich porach dnia miałyby być emitowane reklamy?

- Też nie wiem.

- A czy wie pan cokolwiek konkretnego, co mogłoby nam pomóc?

- Niestety. Nie wiem. Cały przetarg jest objęty absolutną tajemnicą, nie znamy nawet tematyki kampanii, którą mielibyśmy przeprowadzić ponad to, że ma mieć związek z niesprecyzowaną wystawą w muzeum.

Tu muszę naprawdę pochwalić Ioszkę z RMFu, która wykazała się zajebistą inicjatywą i mimo braku jakichkolwiek danych z mojej strony była tak miła i szczerze chętna do pomocy, że pół godziny później miałem w skrzynce nie tylko wycenę, ale propozycję emisji reklam z podziałem na godziny i rozpiską do jakiej grupy wiekowej najlepiej by to przemawiało. No naprawdę więcej niż profeska, aż do niej zadzwoniłem żeby ponadplanowo podziękować jakoś i zapytać jak ja się jej odwdzięczę. Uroczo zażartowała, że czekoladki mogą być, jeśli wygramy przetarg.

No aż jej je wysłałem, bo naprawdę zasługiwała na jakąś podziękę za stanięcie na głowie w tej sprawie.

Gazety były w większości mniej przyjazne i czuć było, że moi rozmówcy traktują mnie z chłodnym dystansem, gdy nie jestem w stanie wyjawic im niezbędnych informacji, których sam przecież nie posiadałem. Szczególnie te największe w kraju, załatywało od nich jakąś staromodną pychę i dumą, jakby wciąż wydawało im się, że ktokolwiek daje jeszcze jebanie o

prasę drukowaną. Lokalne były bardziej w porządku i otwarte na jakieś tam negocjacje, tylko potem ostro mi spamowały telefonicznie czy nie potrzebujemy na ich ramach czegoś publikować. Średnio raz w miesiącu przez pół roku, może dłużej.

Ekstra punkty w przetargu można było dostać za zatrudnienie przy projekcie jakichś niepełnosprawnych. Nie napisali ilu, więc wystarczyłoby, byśmy znaleźli jakiegoś inwalidę do na przykład rozklejania ulotek na słupach albo wypakowywania pudeł.

Pierwszym pomysłem był nasz grafik, Sebek, ale inwalidą przecież nie był. Druga opcja – Ziemek, który miał padaczkę, tylko że za posiadanie padaczki nie dają grupy inwalidzkiej, za to mogą zabrać jakieś przywileje typu możliwość prowadzenia pojazdów mechanicznych, więc przyjaciel bardzo rozsądnie siedział z dupą cicho, bo i tak jakiegokolwiek epizody miał może raz na dwa lata, a ataki, w których faktycznie trzepał się na ziemi, to może łącznie pięć w całym życiu. Trzeci pomysł był już pieniądzejszy, ale przy okazji najbardziej desperacki, bo tak się składało, że miałem znajomego z autyzmem i szeregiem innych zaburzeń, który miał orzeczenie o niepełnosprawności, żył z renty i płakał przy okazji, że chce pracować, ale w sumie to tylko tak mówił, bo nie zajął nawet na stronę urzędu pracy żeby zapoznać się z jakimikolwiek ofertami, o prawdziwym szukaniu zatrudnienia to już nawet nie mówiąc. Mowa tutaj o Grubym z podstawówki, z którym widziałem się może kilka miesięcy wcześniej, gdy wpadł na nas w Central Parku i opowiadał, że zakochał się w dwadzieścia lat starszej sąsiadce. Wymieniliśmy się z grzeczności numerami, ale nie spodziewałem się kiedykolwiek go użyć, tym bardziej w celach zarobkowych. W teorii mógłbym upiec dwie pieczenie na jednym ogniu, pomóc tak jemu, jak i nam. Tylko że jak zagadałem do niego, to od razu dostał ataku paniki, bojąc się, że ZUS cofnie mu rentę jak się dowie, że pracuje na boku. Jeszcze mi kazał usunąć nasze ostatnie wiadomości, bo a nuż ktoś mógłby użyć ich przeciwko niemu podczas komisji w ZUSie.

Zrezygnowany powiedziałem o tych porażkach Zuzce, na co ona odparła, że w sumie to luz, bo ona zna gościa, który ma brata z przykrótką nogą i on chętnie da się za flachę wpisać na listę naszych pracowników. Został finalnie wpisany jako jakiś junior project manager odpowiedzialny za logistykę i utrzymywanie łańcucha dostaw.

Przydało się to, bo przetarg koniec końców wygraliśmy. Niby tak ledwo ledwo, najwyżej paroma punktami, ale zatrudnienie inwalidy pomogło. Przynajmniej w teorii, bo co do praktyki, to już inna historia.

Do tej pory powiedziałem wam, że ojciec Zuzki był dobrze ustawionym sędzią. Czego jeszcze nie wiecie, to tego że był przy okazji niesamowicie skorumpowany. Doszedł po trupach do celu, donosząc ostro na studiach co jego brat i ojciec robią, a czego nie, dzięki czemu wyrobił sobie jakieś tam znajomości po obu stronach, zarówno wśród rządzących, jak i Solidaruchów, i wspiął się na szczeblach kariery, dzięki czemu w parę lat zbudował sobie pierdoloną willę na wsi.

Typ miał ostre koneksje i zapraszał czasem na obiady lokalnych wójtów i biskupów, grał w polo z z dyrektorem liceum katolickiego, do którego posłał trójkę dzieci (najstarsze, czyli Zuza, zostało stamtąd wyjebane po całych dwóch tygodniach, pozostała dwójka zdała z wyróżnieniami), na święta dostawał wina i whisky od jakichś szefów i prezesów, a raz uściśnął nawet rękę temu słynnemu Rydzykowi. Podobno trzymał ich wspólne zdjęcie na biurku w swoim gabinecie, w misternie zdobionej oprawce. Zdjęć z dziećmi albo żoną nigdy sobie za to podobno nie robił.

Generalnie to sędzia Andrzej Marian Wesołowski odpiędał różne inby, z których kilka bardzo pobieżnie znam. W tym przypadku okazało się, że jakiś jego znajomy jest kuzynem czy tam dobrym kumplem dyrektora albo jego zastępcy muzeum składającego przetarg, w którymi braliśmy udział. Wyobrażam sobie, że dowiedział się o tym, że dostali ofertę od pani Zuzanny Wesołowskiej z agencji Viszą & Viszą, potwierdził, że to jego córka, no i potem dali nam parę punktów więcej za wygląd projektu, bo obok ceny państwowe przetargi zwykle, jeśli nie zawsze mają też kilka innych kryteriów.

Zuzka, żeby nie było, o niczym nie wiedziała. Dopiero parę tygodni później podczas spotkania z dyrektorem muzeum, ten powiedział jej na pożegnanie żeby pozdrowiła ojca. Inteligentna była, więc dodała dwa do dwóch, pojechała do rodzinnej willi (co nawet przed tym, co jej starzy odpiędoli pod czas wizyty u nas, robiła raz na ruski rok, uchodząc tam za czarną owcę) żeby dowiedzieć się prawdy, a gdy stary jej powiedział „hehe, to tylko miły zbieg okoliczności”, stało się dla niej jasne, że to wszystko tylko nie miły zbieg okoliczności. Wściekła wróciła do domu, gdzie wyjawiała wszystko mojej siorce, a potem wspólnie wtajemniczyły w sekret jeszcze mnie.

Mocno wkurwiona była z tego powodu i czuła się jak pionek w jakiejś grze, ale w końcu dała sobie wmówić, że pracowaliśmy bardzo ciężko i zasłużyliśmy na ten jeden sukces.



Samochodowe inby

Istnienie agencji nie było tajemnicą i każdy nasz bliższy znajomy wiedział, że gdyby czegoś potrzebował, to niech wali jak w dym. Jednej koleżance mojej siostry robiliśmy zaproszenia na baby shower, Seba zaprojektował jakiemuś ziomkowi projekt nagrobka dla dziadka, a raz wpadła do nas w odwiedziny Milena robiąca za posłańca Kamila, prosząc żebyśmy wykonali dla niego szyldy do warsztatu samochodowego, w którym pracował. W sensie w biurze, a czasem wymieniał koła albo w porywach filtry, bo zawód mu nie pasował i nie chciało mu się niczego uczyć. Jego szef chciał odświeżyć wizerunek warsztatu, sprawić, by był postrzegany jako bardziej prestiżowy, no prawie jak ASO, z czym zwrócił się do niego, a on z kolei do swoich ziomków młodosebków, którzy znaleźli jakiegoś gimbo grafika, ten przygotował mu szyld w Photoshopie, w jakiejś rozdzielce typowo ekranowej a nie do druku, powiedzmy 1366 na 768 pikseli, i powiedział, że nie ma wtyków w żadnej drukarni ani nic, więc musi sobie poszukać jej na własną rękę jak chce jego pracę wydrukować.

Kamilowi się nie chciało i chyba myślał, że szef zapomni o całym pomysle, no bo umówmy się, nowy szyld nie przeistoczyłby jebanej dziupli, której pierdolnięci w dekiel pracownicy robili sobie czasem pizze w piekarniku, który kupili do wypiekania malowanych proszkowo części, w poważny warsztat, aż tu pewnego dnia ten zapytał go, co z tymi szyldami, a jak odpowiedział że przez miesiąc nie znalazł nikogo, kto by je zrobił, to zebrał ostry opierdol i jeszcze tego samego dnia namówił matkę żeby zagadała do nas, bo on nie chciał tego robić samodzielnie z sobie tylko znanych powodów. Jakiegolwiek by one nie były, od paru ładnych lat utrzymywałem już bliższy kontakt z Mileną niż z nim, bo zawsze wpadała do mojej mamy na kawkę i ciasto albo odwrotnie, podczas gdy on zerwał znajomość po maturach i zaczął się zadawać z jakimiś Sebami-gówniakami. Nie byłem z nią jeszcze na „ty”, ale miało się to zmienić całkiem niedługo.

No więc pewnego przedpołudnia Milena zawitała w naszym biurze, we trójkę z nią i Zuzką pogawędziliśmy miło, spisaliśmy wszystkie potrzebne detale i wio, do pracy. Myszka trzasnęła ogólny projekt, ja go później obrobiłem i przygotowałem różne wersje w różnych rozmiarach, a potem ugraliśmy wszystko z pobliską drukarnią i pozostało nam czekać na odbiór gotowców.

Zdeklarowałem się, że ja wszystko sam przywiozę na miejsce, ponieważ warsztat Kamila był w naszej dzielnicy. Nie widziałem więc powodu, by fatygować jego mamę, skoro i tak i tak miałem po drodze.

Odebrałem wszystko z drukarni pod koniec dniówki, gdy dostaliśmy wiadomość, że wszystko już na nas czeka, pojechałem do tego warsztatu i okazało się, że jest zamknięty, a w pobliżu nie ma nawet jednej żywej duszy. Spojrzałem na zegarek - było parę minut po piątej, czyli wszystko się zgadzało, zjawiłem się idealnie o umówionej porze. Najbardziej oczywistym rozwiązaniem byłoby zadzwonienie do Kamila żeby się dowiedzieć co się dzieje, ale widzicie, nie miałem nawet jego aktualnego numeru telefonu, wybrałem więc ten Mileny, z pytaniem gdzie się podziewa jej prawie trzydziestoletni syn.

- Kamila nie ma w warsztacie? - Powiedziała skonsternowana. - Mogłabym cię prosić żebyś poczekał minutkę? Zadzwonię do niego i oddzwonię do ciebie, jak tylko się czegoś dowiem, dobra?

Jak powiedziała, tak zrobiła - okazało się, że Kamil zwinął się wcześniej z roboty, bo mieli mały ruch i zdążyli uwinąć się ze wszystkimi zleceniami na długo przed końcem dniówki, i pojechał na osiemnastkę jakiegoś swojego ziomka. Powiedział jej żeby mi przekazała bym te szyldy przerzucił przez ogrodzenie i rano ktoś je odbierze; no ja pierdołę.

- Mógłbyś poczekać na miejscu jeszcze parę minut? Ubiore się tylko i podjadę, sama je odbiorę. - Zaproponowała, ale powiedziałem jej, że to ja podjadę do niej i wniosę wszystko do garażu albo do bagażnika jej fury, bo przecież dom mieli dosłownie na ulicy krzyżującej się z moją.

Śmiechłem trochę, bo tak jej było wstyd za syna spierdoksa, że nawet nie zdążyła się ubrać i wyszła w podomce przed dom żeby mi pomóc z rozładunkiem, podczas gdy on bawił się w najlepsze z gówniarzami, kupując piwa tym, którzy legalnie jeszcze nie mogli tego robić sami.

Jak pojechałem tego sezonu zmienić koła, to zobaczyłem jak odmienił się cały ten warsztat. Eleganckie szyldy, wykonane przez absolwentkę ASP, Janusze przybiły zardzewiałymi gwoździami albo przywiązały zardzewiałym drutem do zardzewiałego ogrodzenia, a baner wywiesiły nad zardzewiałymi drzwiami z farbą odłazącą płatami.

Jakby Szara Myszka zobaczyła, co się stało z jej twórczą pracą, to znowu by na oddziale wylądowała.

Ale przynajmniej po znajomości wymieniali tam mnie, mamie i siorce koła za bezcen. Trzy samochody w cenie jednego w jakimś normalnym warsztacie, także bardzo spoko.

Z samochodami mieliśmy jeszcze jedną delikatną akcję. Wśród naszych klientów znajdowały się trzy salony samochodowe – bardzo fajni klienci, zawsze terminowi, profesjonalni i zlecali nam rzeczy tak banalne, że na przykład w kwadrans realizowaliśmy coś, co było warte naszą całą dniówkę. Dajmy na to bilbordy – każda marka na rynku ma swój odgórnie zaplanowany spójny styl reklamy na dany rok, więc jak potrzebują jakiejś wielkoformatowej reklamy, to ślą podwykonawcom gotowe projekty, którym wystarczy zmienić rozmiar i poprzesuwać poszczególne elementy tak, by ładnie wyglądały. Czasem też dodać pasek na dole z nazwą i adresem autoryzowanego dilera.

Naprawdę, więcej czasu zajmowało nam wysłanie gotowca do autoryzacji w centrali, niż sama praca nad nim. Potem z Warszawki przychodziła informacja zwrotna że albo wszystko gra albo to i to jest do drobnej korekty. Zwykle mowa była na przykład o odstępach logotypu od krawędzi czy coś, żeby zgadzało się perfekcyjnie z wymogami w księdze znaku. W pewnych sytuacjach przymykali oko, na przykład przy bardzo małych projektach typu zaproszenie na imprezę tematyczną dla lojalnych klientów w lokalnym salonie, ale przy większych projektach trzeba było naprawdę się pilnować i dwa razy sprawdzać każdy punkt księgi przed wysłaniem, no bo jakby nie patrzeć, zależała od tego nasza reputacja.

Właściciel jednego salonu odezwał się do nas w sprawie kilku bilbordów drugiego stycznia. Sprawa była ważna i priorytetowa, bo chcieli promować nowy model wchodzący na rynek. Dostaliśmy od nich template, ale momentalnie okazało się, że mamy poważny problem, bo był zapisany w tegorocznej wersji InDesign'a, podczas gdy my jechaliśmy na pirackiej z zeszłego. Starszy projekt na nowszej wersji otworzy się bez zająknięcia, ale odwrotnie już nie, więc zaczęło się bezowocne szukanie po sieci najnowszej kopii.

Dwa czy trzy dni czekaliśmy, aż coś się pojawi, obdzwaniając wszystkich znajomych, którzy mogliby pomóc, ale nikt nic nie ogarnął. Klientowi przez ten czas Zuza wmawiała, że mamy urwanie głowy i że zajmiemy się bilbordami tak szybko, jak to tylko możliwe. Nie miał powodu, by jej nie wierzyć, bo mieliśmy już wspólną z nim historię i zawsze był naprawdę zadowolony z naszych usług, nawet poręczył raz osobiście w centrali za jeden projekt zaproszenia, które odstawało od stylu marki z powodu ściśle tematycznej natury spotkania. Szkoda byłoby stracić zaufanie takiego klienta.

W końcu szczęśliwie do Pirackiej Zatoki wpłynął okręt przewożący na pokładzie najnowsze wersje programów Adobe, które Seba od razu zassał przez służbowego neta i jeszcze tego samego dnia wysłaliśmy klientowi wszystkie zamówione projekty.

Nie dalej niż tydzień później rozklejono bilbordy, nawet jeden z nich zobaczyłem na żywo, jadąc gdzieś raz furą. Bardzo przyjemne uczucie, widzieć w takim formacie coś, przy czym własnoręcznie się pracowało. W sensie wkleiło adres salonu i ustawiło odpowiedni rozmiar.



Opowieści o duchach

Tak w gruncie rzeczy zdystansowanie się Zuzy od swoich rodziców nie było w ich rodzinie żadną większą nowością. Jej ojciec nie utrzymywał kontaktów z prawie żadnymi krewnymi, bo jak już zdążyłem powiedzieć, podpierdała ich komu było w danej chwili wygodnie,

by budować sobie sieć koneksji potrzebnych w jego pracy. Jedyną osobą, której nie wyruchał kompletnie, była jego matka, która podobno miała mieć jakieś moce kontaktowania się ze zmarłymi i w snach nawiedzały ją duchy. Jego żona, czyli matka Zuzy, uważała to za stek bzdur (co jebie na kilometr hipokryzją, bo sama miała sen, w którym Maryja pouczała ją na temat związku swojej córki), ale sędzia Andrzej Marian Wesołowski powtarzał, że babcia naprawdę ma jakiś dar i za każdym jebanym razem przytaczał wtedy opowieść jak ta kiedyś wstała w nocy i powiedziała dziadkowi, że jakiś tam krewny do niej przyszedł we śnie powiedzieć, że właśnie zmarł, no i rzeczywiście, tej samej nocy o tej samej godzinie zmarł. Młoda Zuzka nawet nie tyle nie wierzyła, co w ogóle zbywała te historyjki, co nie zmienia faktu, że do babci, jakkolwiek dziwna by nie była, skrycie zawsze z chęcią na wakacje jeździła, byle odetchnąć parę tygodni od starych-katoli i braci... no w sumie to też katoli. Wysyłali ją tam niby za karę, bo od najmłodszych lat była rozrabiaką jakich mało.

Miesiąc spokoju, zero nerwów, niepowtarzalny klimat niezindustrializowanej wsi i do tego w miarę normalne towarzystwo zamiast wychowanych pod kloszem bananów. Czego chcieć więcej? Dzisiaj pewnie stabilnego wi-fi, ale wtedy internet wciąż był w powijkach i nie odgrywał takiej roli w życiu młodych jak w późniejszych latach.

Zuzka szybko poznała bandę okolicznych Sebków, z początku mocno wobec niej sceptycznych z powodu płci i tego, że nie była stąd, ale wystarczyła paczka petard żeby owinęła ich sobie wszystkich wokół paluszka i bujała się z nimi od rana do wieczora, a czasem nawet przez całe noce, jeśli akurat babcia zgodziła się, by z chłopakami biwakowała. Oczywiście w osobnych namiotach i po złożeniu obietnicy z ręką na sercu, że nie da któremukolwiek zamoczyć. W sumie z tym drugim nie było problemu, bo raz, że nie była romantycznie zainteresowana którymkolwiek z chłopaczków, i dwa, żaden z nich w sumie nie dojrzał jeszcze na tyle, by rozglądać się za dziewczynami. Każdy jeden był za to na etapie szczeniackiej odkrywczości i notorycznie zamiast grzecznie kłaść się spać w śpiworach, łazili razem po okolicznych polach i lasach w świetle księżyca.

Tamtej nocy Zuza miała nocować z nimi i zmówili się sekretnie, że udadzą się na jedną ze swoich nocnych eskapad; może coś odkurwią, może wybiją szybę takiemu staremu przykowi, który zawsze się dał jak przechodzili mu pod domem. Wszystko było ugrane, o planie wiedzieli tylko wtajemniczeni i tak długo, jak opiekunowie wyraziliby zgodę na namiotowanie, nic nie mogło pójść źle.

Późnym popołudniem Zuza poszła do babci na kolację żeby formalnie się jej zapytać, czy da jej nocować poza domem, a ta nie miała przeciwwskazań. Przysiadły do stołu żeby zjeść sobie spokojnie posiłek, aż tu nagle babcia ot tak powiedziała z konsternacją:

- Zuzia, siedźcie w nocy w namiotach z kolegami, bo złe duchy przechodzą przez nasze miasteczko. Stryjek Zajzajer mi mówił w nocy, ostrzegał żebyście nigdzie nie szli.

Stryjek spadł z rowerka pół wieku wcześniej.

- Hehe, babciu, skąd taki pomysł że chcemy gdzieś iść? - Zgrywała głupa dziewczyna, głowiąc się jednocześnie nad tym, który z chłopaków strzelił z dupy i się komuś wygadał. No bo jak inaczej mogła się dowiedzieć, że planują się wymknąć?

Jej babcia nie drążyła tematu i ani nie wytłumaczyła skąd ma takie, a nie inne podejrzenia, ani nie przesłuchiwała wnuczki, grożąc odesłaniem do domu czy czymś podobnym. W sumie to wiedziała, że młoda ma kiepskie relacje z rodziną i że wakacje u niej są najszcześniejszymi okresami jej życia. Skierowała więc rozmowę na inny, przyjemniejszy tor, i w nie więcej niż pięć minut dziwna uwaga wyleciała z głowy młodej Zuzie.

Nastał wieczór, ekipa zebrała się w umówionym miejscu, rozbiła namioty i poczekała aż słońce całkowicie schowa się za horyzontem. Jak wiemy, plany mieli szalone i ambitne, ale jak to z dziećmi bywa, gdy tylko zrobiło się ciemno, zaczęli trochę strachać, obawiając się konsekwencji, mimo wszystko udając jeden przed drugim, że wszystko gra. W powietrzu było czuć coś jakby... elektrycznego, wiecie? Coś jak ozon, tak to ujęła Zuza lata później, gdy po paru drinkach opowiadała mi tę historię. I to właśnie to sprawiło, że mieli z chłopakami na rękach gęsią skórę, wymykając się z jednego pola na drugie. Nie było zimno, nie działo się absolutnie nic nadzwyczajnego, więc nie było powodu, by tak się denerwowali. Szczególnie, że nie był to pierwszy raz, gdy się wymykali. A jednak się denerwowali.

Truchtali polną drogą przecinającą pole porośnięte żytem, zbożem albo czymś innym wysokim, gdy w oddali ujrzeli jakąś bladą łunę. Zesrali się już na sam jej widok, obawiając, że w pobliżu jest jakiś policjant, leśniczy albo nawet pierwszy lepszy farmer z latarką, który by ich rozpoznał. Ale nie. Gdy podeszli na paluszkach nieco bliżej, zza żyta wysunęła się nienaturalnie wysoka postać, spokojnie mająca ze dwa metry, ubrana w powiewającą luźno białą suknię albo szmaty, i to ona zdawała się sama z siebie jaśnieć. Zuzka nie miała okazji ani przyjrzeć się jej z daleka, ani tym bardziej zobaczyć z bliska, ale zanim zerwała się do ucieczki, udało jej się zwrócić uwagę na to, że ma wyjątkowo wynędzniałe, chude i długie ręce.

Ktoś pisnął cichutkie „o kurwa” i wszyscy rzucili się do opętańczego biegu z powrotem, nie oglądając za siebie nawet raz.

Podczas relacjonowania tej opowieści nieco ponad półtorej dekady później, dorosła Zuza na chwilę ucichła, co było do niej w ogóle niepodobne. Powiedziała mi po chwili milczenia, że może jest wariatką, ale nie taką, która cierpiałyby z powodu omamów i urojeń. Cokolwiek tamtej nocy widziała, było tam, ale co to było, nie miała i dalej nie ma pojęcia.

Nie pamiętała, jak znaleźli się z powrotem w namiocie, instynkt samozachowawczy najwyraźniej wyłączył jej pamięć, pożytkując całą dostępną w ciele energię na dalsze przebieganie nogami w brutalnie wysokim tempie. Jeden z jej kumpli, który miał podobno okazję przypatrzeć się tej tajemniczej postaci, bo stał wtedy na przedzie grupki, klął się później na honor, że była trupio blada i że nie miała ani ust, ani nosa, ani oczu, niczego. Nieważne nawet, co czy kogo widzieli naprawdę, ważne, że on święcie wierzył w to, co mówił. Nie mógł ściemniać, bo całą noc nie zmrużył oka, a parę dni później na głowie pojawiło mu się kilka siwych włosów i tak mu już zostało. Podobno przestał po tym incydencie biwakować z kolegami, ba, od tego czasu w ogóle starał się wracać do domu przed zmierzchem, a jesienią i zimą zawsze nosił przypiętą do szkolnego plecaka latarkę.

Dorosła Zuza pociągnęła łyk jednego z tych kolorowych drinków Sobieskiego, które sam piłem na studniówce, opróżniając do końca butelkę.

- Wierzysz chociaż w część tego, co ci opowiedziałam?
- No wiesz, w parę detali trudno mi uwierzyć... na przykład że nie przespałaś się z żadnym z tych chłopaczków. - Zażartowałem i w odpowiedzi dostałem kuksańca w ramię.
- Serio pytam. Możesz sobie myśleć, że kłamię jak z nut albo że bredzę, bo za dużo wypitałam... ale to wszystko najprawdziwsza prawda.
- Wierzę ci, Zuzka. Wiesz, nie mówiłem ci o tym nigdy, ale widziałem kiedyś z przyjaciółmi UFO. Możesz spytać Szymiego, jeśli mi nie wierzysz, też tam był.
- Co ty, serio?
- Serio-serio. Coś widzieliśmy, ale co to było... nie mam bladego pojęcia.
- Masz jakieś podejrzenie albo przynajmniej jakąś teorię, w jaką wierzysz?
- Wtedy każdy z nas był przekonany, że to statek kosmiczny i nic innego nie dalibyśmy sobie wmówić. Teraz? Nie wiem. A ty?
- Z tym czymś na polu? Tak samo. Wtedy to był dla nas duch i tyle. Jak cię widzą tak cię piszą, co nie? Chociaż sama nie wiem, u babci podobno działały się różne dziwne rzeczy. Nigdy w żadną nie wierzyłam, ale ta banda, z którą nocowałam, miała jeszcze jedną przygodę, tylko się nie śmiej...

We wspomnianej miejscinie krążyła od dekad legenda o duchu czarnego kozła. No beka w chuj i kiedy szwagierka mi o tym powiedziała, to mimo wszystko zaśmiałem się głośno. Jeśli wierzyć opowieści, to grasował w lesie okalającym wioskę, polując na nierozważnych głupców, którzy nieświadomie zapuszczali się na jego tereny. Traf chciał, że pobliska stacja kolejowa była po drugiej stronie tego lasu i najszybciej można było do niej dojść ścieżką prowadzącą przez jego serce, z czego korzystali wszyscy uczniowie edukacyjnego szczebla średniego. Do wyboru mieli marną zawodówkę, marne liceum z jedną z najniższych zdawalności matur w województwie i takie średniawe technikum, do którego zapisali się wszyscy wakacyjni koledzy Zuzy.

Jeden z nich często załatwiał sobie lewe zwolnienia, bo nie chciało mu się wstawać o czwartej-piątej rano i później spędzać większości dnia poza domem, wracając tylko żeby coś zjeść i się przespać. Miał je wypisane na cały tydzień, ale wieczór wcześniej pochłanił samogonu i jebany zapomniał o tym, że nie musi iść do szkoły, przez co wstał o normalnej porze i spotkał się z ziomkami jakby nigdy nic.

Koledzy przypomnieli mu, że przecież ma wolne, ale ten im powiedział, że jak już jest na nogach, to przynajmniej odprowadzi ich na dworzec 9 i ¾, tylko piwko kupi po drodze, bo kaca ma i może alko go trochę rozgrzeje.

Jak powiedział tak zrobił, odprowadził ich i pożegnali się, gdy nadjechał pociąg. Reszta ekipy dojechała do szkoły, a on zawrócił i zniknął między drzewami.

Tamci dojechali na swoją stację, wysiedli, któryś sprawdził na telefonie która godzina i zobaczył, że ma od tego typka dziesięć nieodebranych połączeń. Zadzwoił więc i pierwsze co usłyszał w słuchawce to:

- Kurwa, duch czarnego kozła mnie prawie dopadł!
- Czo.

- No duch czarnego kozła! Wracam se do domu przez lassek, nie? Widzę jakieś żółte ślepie między drzewami, świeciły jak latarki. Wołam „pokaż się”, nic. Idę dalej. Patrzę, a tu już przy końcu lasku, spomiędzy młodych drzewek, wychodzi kozioł, o taaaaki, kurwa, cały czarny i on tymi oczami świeci, jebany! Zrobił „beee” i się rzucił na mnie, no to ciepniętem w niego plecakiem i spierdoliłem. No i właśnie, ej, słuchaj, a jakbyście wracali, to moglibyście mi ten plecak wziąć? Jest gdzieś przy ścieżce, tam nieopodal pola, gdzie ducha żeśmy widzieli. Ja idę się spić, bo aż mi się łapy telepią na samą myśl o duchu czarnego kozła!

Jak wracali, to odkopali mu ze śniegu ten zgubiony plecak; zamrożony jak sopel lodu był. Na ścieżce znaleźli wyraźne ślady butów swoich i tego debila, ale co ciekawe, żadnych odcisków kopyt tam nie było.

Dorośła Zuza dokończyła swoją opowieść i zaśmialiśmy się oboje, chociaż do końca nie wiem z jakiego powodu. Ot tak, krótka, szczerza salwa śmiechu w reakcji na opowieść o idiocie.

- To co, twoja babcia mieszka w takim polskim Eerie, Indiana, co?

- Oglądałaś to?! Myślałam, że jestem jestem jedyną osobą, która pamięta ten serial! Rany...

Poczekaj, aż podpita dziewczyna skończy się chichrać, po czym z ciekawości zapytałam ją jeszcze na koniec:

- Miałaś jeszcze jakieś paranormalne przygody albo o jakichś słyszałaś?

- Niespecjalnie. Chociaż czekaj, podobno u babci grasował jeszcze jeden potwór, duch burej kuny, co majtki kradł dziewczynom, które kąpały się nago w rzece. Ale jego nigdy nie miałam okazji spotkać.



Domówka

Izcie dużo czasu zajęło wyzbycie się awersji do wszelkich większych imprez i spotkań towarzyskich w gronie rodziny po tym, co nasz ojciec odpierdolił podczas moich osiemnastych urodzin. Czasem w jakichś uczestniczyła, choćby podczas girl party Eweliny z okazji jej czterdziestki, ale generalnie stroniła od celebracji czegokolwiek, jeśli tylko mogła. Zuza zносиła to cierpliwie, nie naciskając jej zbyt mocno, ale gdy jej ukochana zrobiła doktorat, postawiła sprawę jasno – muszą to uczcić i nie przyjmie typowego dla Izzy „nie” za odpowiedź.

Jedyne, co siorce udało się wynegocjować to to, by była to skromna domówka, bez żadnych fajerwerków i tłumów ludzi, którzy nie byli jej bliscy. Dziewczyny poprzestały więc na sprośzeniu może dziesięciu osób, w tym oczywiście mnie, Szymiego, Ziemka i Emila, z czego ten ostatni zjawił się w dziwnym dla siebie cichym nastroju. Był małomówny i poza pogratulowaniem świeżo upieczonej pani doktor ciężko wypracowanego sukcesu, trzymał się trochę z boku, pogrążony w zadumie.

- Hej, co z Emilem? - Zapytałam Szymiego, siadając obok niego żeby odsapnąć nieco po obtańczeniu paru przyjaciółek Izzy. - Brał coś wcześniej i mu nie podsiadło?

- Nie wiem, dzisiaj cały dzień taki jest. Nie chcę go przyciskać i pytać na siłę. Jak czarnuch będzie chciał to sam nam powie co mu na sercu leży.

- A wy co tak siedzicie? Impreza jest, bawimy się, bawimy! - Między nas wskoczyła Zuzka i radośnie objęła ramionami za szyje z obu stron. - Chyba że chcesz żebyś naskarżyła twojej siostrze, że nie celebrujesz należycie jej akademickich osiągnięć?

- Właśnie skończyłem tańczyć z jedną waszą koleżanką. Litości, muszę złapać oddech. - Zaśmiałem się.

- Nie ma opcji. Chodź, zatańczymy razem, bo dzisiaj jeszcze nie mieliśmy okazji. No, dajesz, zaczyna się nasza piosenka!

- Nie wiedziałem, że mamy „naszą” piosenkę. - Odpowiedziałem, dając się jej jednak wyciągnąć na środek pokoju.

- Bo nie mieliśmy. Aż do teraz, Miśku ty mój kochany! - Wyszczrzyła zęby. - A po ciebie, Szymuś, wrócę za parę minut!

Szwagierka chyba obrała sobie za punkt honoru dać z siebie dosłownie wszystko podczas tej domówki; sprawić, by nikt się nie nudził nawet przez moment i wszyscy dobrze zapamiętali ten dzień, szczególnie Iza. Stawała na głowie, żeby ta czuła się wyjątkowo i być może pokonała chociaż na chwilę swoją niechęć do celebrowania czegokolwiek.

Zawsze zaskakiwało mnie, ile energii drzemie w Zuzie, i to, że jakimś cudem moja cicha i spokojna siostrzyczka była w stanie wytrzymać narzucane przez nią tempo. Fajnie jest mieć kogoś bliskiego, kto operuje na wysokich obrotach i motywuje was do aktywniejszego życia, ale za Zuzą nie nadążyłby nawet nafurany króliczek Energizera.

Z jednej piosenki zrobiły się dwie, potem trzy, i dopiero wtedy puściła mnie wolno, a i to niechętnie, obiecując (albo grożąc, w zależności od punktu widzenia), że jeszcze ze mną nie skończyła i wyrwie do tańca jak tylko trochę odpoczne i przestanie się ze mnie strumieniami lać pot. Ona, dla przeciwwagi, nie miała nawet przyspieszonego oddechu. Gdyby nie rozczochrane włosy, ktoś mógłby przypuścić, że całą zabawę stała w miejscu i dopiero teraz weszła na parkiet.

Gdy rozpoczął się czwarty utwór, litościwie wyrwała mi się z rąk i obracając dokoła złapała Ziemka, który właśnie co skończył taniec z Izą.

- Odbijany! - Zachichotała, pokazując ukochanej język i siłowo wyciągając przyjaciela na środek.

Izka pokręciła z niedowierzaniem głową i oboje podeszliśmy do siedzącego Szymiego i Emila żeby na chwilę usiąść. Znaczący usiąść, bo ja to raczej bezwładnie opadłem, nie mogąc dłużej utrzymać się na równych nogach.

- Zuziak dał ci niezły wycisk, co? - Zaśmiała się.

- Żebyś wiedziała. Przemaglowała mnie tak, że ledwo teraz dycham.

- Jest takie powiedzenie, że blondynki bawią się lepiej od innych!

- W tym przypadku nie śmiem w żadnym stopniu go podważyć.

Zaśmialiśmy się.

- A jak tam u was, chłopaki? Dobrze się bawicie? - Zagaiła siorka pograżonych w zadumie przyjaciół.

Emil chwilę milczał, ale w końcu przetknął ślinę.

- Ej, Ruda, mogę cię o coś zapytać? Tak na poważnie?

- Zawsze. Coś się stało?

- Słuchaj... ten... jak wam się żyje z Zuzą razem? Znaczą... kurwa, chodzi mi o to, jak się zmienił wasz związek jak zamieszkałyście razem?

- No wiesz... dla mnie to było, i jest, spełnienie wszystkich marzeń. - Zastanowiła się. - Pewnie, czasem bywa między nami gorąco, spinamy się i drażnimy, ale obie chciałyśmy żyć ze sobą i pracujemy nad tym, by wspierać się nawzajem. A co, nie mów, że planujesz zamieszkać z jakąś szczęściarą?

- No, jest taki plan, kurwa. - Przyznał.

- Joł, czarnuchu! Czemu żeś nie mówił od razu? - Szymi podekscytował się tą informacją.

- Bo zdenerwowany jestem, nie?

- To zupełnie normalne. - Iza złapała go za dłoń żeby dodać mu trochę otuchy. - To dla ciebie duży krok, zmienisz całe swoje życie.

- No. - Przytaknął, spuszczać wzrok.

- Ty, ej, ale gdzie w ogóle chcesz się wyprowadzić? Gdzieś daleko? - Zapytał go ponownie Szymi.

- Kurwa, co ty, do klatki obok dziadków, na osiedlu dziesięciopiętrowców.

- To luz. Będzie dobrze, na real.

Emilowi wcale to nie pomogło. Dalej siedział przygaszony. Za plecami usłyszał za to wesołe piski Zuzki na temat swoich kocich ruchów. I tego, żeby Ziemek trzymał tempo.

- Szymi... nie, chuj w to, nieważne...

- No wyrzucić to z siebie, zię.

- Kurwa... no... - Zaciął się. - Szymi... jak to jest być ojcem?

Z Izą zamrugaliśmy kilkukrotnie, podczas gdy Szymi wytrzeszczył ze zdziwieniem oczy.

- Ty... joł... ale przecież ty jesteś ojcem. - Stwierdził zgodnie z prawdą. Emil jakoś trzy lata wcześniej zalał przecież jakąś nastkę, której co miesiąc wysyłał alimenty, a tak poza tym to historia rozeszła się po kościach.

- No... niby kurwa tak, ale nie widziałem syna na oczy. Raz na zdjęciu chyba, a tak to żyje se z matką gdzieś na wsi i wyjebane, nie? A teraz nie ma opcji żebyś alimenty płacił drugiej dupie, bo nie starczyłoby mi z wypłaty. Skrobać też nie da rady bo coś tam, więc zostaje ślub i wspólne mieszkanie. To jak to jest?

- No... wiesz, łatwo nie jest... ale dasz radę, na real. Też nie byłem gotowy na bycie ojcem, ale jak zobaczyłem syna pierwszy raz, poczułem jego zapach, to, nie wiem, coś się we mnie zmieniło.

- Co ty kurwa dziecko wachasz? Popierdoliło cię?

- Joł, sam zobaczysz jak twoje się urodzi. Chodzi mi o to, że wtedy pomyślałem, że muszę ogarnąć dałna, bo mały jest teraz dla mnie całym światem, łapiasz? Być dla niego opiekunem i w ogóle wzorem do naśladowania. Bywa ciężko, ale nawet jakbym miał wehikuł czasu, to nie zmieniłbym niczego.

Iza słuchała go z naprawdę nieskrywaną dumą, widząc jak wydoroślał w przeciągu dekady od kiedy „strzelił” gówniaka. Z jednej strony przejebana sprawa założyć rodzinę świeżo

po osiemnastce i nie wyobrażam sobie, jak ciężko musiało mu być, ale z drugiej jego sytuacja miała też jakieś plusy - gdyby nie gówniak, to jego życie pewnie skończyłby jak niektórych jego okolicznych idoli z czasów gimnazjum, czyli albo na wygnaniu, albo w więzieniu, albo na cmentarzu. A tak niby się ustatkował i nabrał trochę powagi. Nie mówię, że trafił szóstkę w Totka, ale chyba rodzina była w jego przypadku mniejszym złem, dzięki któremu stał się lepszym człowiekiem.

Kiedyś w dołku próbowałem niewprawnie zapytać mamę (która przecież przeżyła to samo co on), czy nie żałuje jakichś decyzji podjętych w młodości, ale wyczuła pismo nosem i od razu mi powiedziała, że ciężko akurat ani trochę. Byłem przekonany, że tak tylko mówi żebym poczuł się lepiej, ale wtedy Szymi dał mi trochę do myślenia, tak na temat jego życia, jak i swojego.

- Zobaczysz sam. Spojrzysz tylko na syna czy tam córkę i wszystko ci się poukłada we łbie. - Podsumował swój monolog Szymi.

- Póki co to muszę poukładać rzeczy w nowym mieszkaniu i odjechać pokój dla dzieciaka.

- W razie czego dzwoń, z miłą chęcią pomożemy, nie? - Zasugerowałem.

- Joł, na real. A jak już wyremontujecie gniazdko, to rozumiem, że zorganizujesz jakąś imprezę powitalną.

- No, parapetowa musi być! - Zawtórowałem Szymiemu.

- No kurwa wiadomo, wszyscy jesteście zaproszeni. Tych dwoje też. - Skinął w stronę Ziemka, w którym roześmiana od ucha do ucha Zuza rozbudzała ukrytego Iana Curtisa, przymuszając go do dotrzymywania jej kroku i wymachiwania rękami i nogami w każdym możliwym kierunku.

- Widzisz, Iza? Będiesz miała kolejną okazję żeby przemóc się do celebrowania uroczystości. - Szturchnąłem siostrę lekko w ramię.

Prychnęła pod nosem, ale uśmiechnęła się delikatnie.

- Dobra, niech będzie. Ale póki co, Emilku, wstawaj. No, hop, taniec na poprawienie humoru. Zalecenie pani doktor.

- No jak pani doktor każe, to nie mogę odmówić. - Podniósł się i jak dżentelmen ujął rączkę. - Ej, Ruda, a teraz jak masz dyplom, to mogłabyś mi wypisać receptę na trawę?



Bonusowy plakat

Powiedziałem co nieco o naszych większych zleceniach, ale przeważnie dylowaliśmy z małutkimi projekcikami. Ulotka tu, zaproszenie tam, czasem jakiś krótki filmik na stronkę z dostarczonych scen, czyli naprawdę mała skala, ale dzięki takim drobnostkom utrzymywaliśmy się na plusie i mogliśmy działać dalej.

Znajomy znajomej znajomego Zuzki znał jakiegoś Bonusa, który chciał zorganizować jakiś event w plenerze, z tego co pamiętam to z pokazem fajerwerków albo jakichś świateł. Ważne, że miało być kolorowo, i w nocy. Po nitce do kłębka trafił do naszej agencji. Przyjechał do nas, pierdolony, Fiatem Bravo w kolorze kameleon i gałką skrzyni biegów w kształcie głowy węża, z rozpuszczonym na pół ulicy Mam wyjebane. Przypał jak sam skurwysyn, bo umówmy się, czasy dresiarского wieś tuningu bezpowrotnie minęły i chyba tylko na głębokich wsiach taka pokraka

na czterech kołach nie byłaby postrzegana jako... no cóż, pokraka na czterech kołach. A co dopiero w cywilizowanym miejscu, w jakim położona była nasza agencyjka. Nie było to może centrum miasta, ale nie można było mu odmówić ani ruchliwości, ani względnie przyjaznego klimaciku. Naprzeciwko mieliśmy kameralną restaurację, za rogiem przedszkole, a dwie ulice dalej posterunek policji, więc nie spodziewałem się, że w takim miejscu zobaczyłbym takiego jebanego degenerata, który w tych czasach odstawałby nawet na osiedlu dziesięciopiętrowców. Ba, chyba nawet w kamienicach, w których leżał się mój stary, uchodziłby za patusa.

Typ chciał plakat na potrzeby organizowanego eventu, no i ja go akurat miałem obsłużyć w tej sprawie, bo szefowa była mocno zajęta bardzo pilną priorytetową rozmową w swoim zamkniętym od wewnątrz na klucz gabinecie. W sensie moja siorka wpadła do nas na drugie śniadanie.

Przysiadłem z Bonusem przy stoliku i zapytałem czego konkretnie potrzebuje, to on mi na to łamaną polszczyzną, bo w końcu mowa o jebanej małpie, że on już ma na pendrivie projekt, który kiedyś kupił i on może posłużyć nam za wzór.

No okej, spoko. Mieliśmy na jego bazie wykonać trzy alternatywne projekty, i on by sobie wybrał jeden, który najbardziej mu się spodoba.

Następnego dnia z dwójką grafików, w sensie tym Sebastianem od Ilustratora i niespełnioną Szarą Myszką po ASP, trzasnęliśmy po projekcie plakatu dla patusa, zebrałem je do kupy, zapisałem w jakiejś niskiej rozdzielczości jako jotpegi żeby nie podjebał ich czasem, co wydawało mi się wielce prawdopodobnym scenariuszem, bo ten, który nam dostarczył, właśnie zwykłym jotpegiem był, po czym wysłałem mu komplet mailem.

Z odpowiedzią czekał trzy dni. Napisał nam lakonicznie „zaden mi sie nie podoba”. Zapytałem szefową czy dostaliśmy kasę za stracony czas i okazało się, że dał nam tam jakąś przedpłatę, więc luz. Straciliśmy może trochę czasu, ale nie było powodu, byśmy z tego powodu rozpaczali.

Tydzień później zjawił się w biurze znowu. Wszedł jak do siebie, rzucił nam na wstępie „jo!” i bez jebania podszedł do mnie. Chuj, że byłem w trakcie jakiegoś zadania, ale przysiadł się i zaczął mi mówić, że on tych naszych projektów nie chce, bo nie wyglądają na prawidłowe, ale on ma ten stary, który dał mi na wzór, i chce żebyśmy mu wydrukowali go w formacie A3.

- Okej, nie ma problemu. Ma pan przy sobie fizyczny projekt, który moglibyśmy przerobić? - Zapytałem go.

- No przecież wam dałem jak tu ostatnio byłem. - Odparł jakbym był niepełnosprawny umysłowo.

To, co rozumiał poprzez rzeczownik „projekt”, było wspomnianym jotpegiem, który rzeczywiście nam wcześniej dostarczył, ale ani nie rozumiał, ani nie chciał zrozumieć, że poza obejrzeniem go sobie nie mogliśmy z nim nic zrobić. Zresztą, widać w taki sam sposób myślał, gdy go kupował, bo chcąc zaoszczędzić, postanowił nabyć tylko gotowy plik .jpg od nastoletniego grafika, który go zrobił, bo za projekt .psd liczył sobie parę dych ekstra.

Zaczął się więc poszukiwanie tego skompresowanego śmiecia, bo ja osobiście nie widziałem potrzeby żeby go zatrzymywać. Spytałem na boku Sebka, czy ma pliki projektowe swojego plakatu i czy być może nie zarchiwizował dostarczonej wersji referencyjnej. Tak a nie inaczej sformułowałem pytanie po to, by Bonus siedzący obok mnie go nie zrozumiał.

Sebek coś tam pomachał swoim klikająco-piszczącym łokciem, spróbował poczarować, ale też nie miał, więc podbiliśmy do Szarej Myszki. W sumie to mogłem się ją spytać od razu, bo z całej naszej agencji ona jedna była w sumie profesjonalistką, która poważnie podchodziła do tego, co robiła, i zawsze gromadziła dosłownie każdy jeden pliczek każdego jednego projektu, nawet najmniej znaczący, na swoim dysku. Oczywiście zaburzenia psychiczne też miała wprost proporcjonalnie poważne.

Przesłała mi tego jotpega z oryginalnym plakatem, odpaliłem go i zabrałem się za wyjaśnianie Bonusowi, że on został przygotowany do wydruku w formacie A4, a i to nawet żadnych spadów nie miał, i nie ma opcji żeby rozciągnąć go do formatu A3. Samo tło może jeszcze dałoby na upartego radę, ale napisów po prostu nie można powiększać, bo straciłyby swoją ostrość i tekst to się, kurwa, drukuje w krzywych.

- No to zróbcie tak żeby ten plakat mój też tak miał na kartce A3. Wy jesteście ten, no, grafikami, c'nie, zią? To wy się martwcie.

Resztę dnia spędziłem na odtwarzaniu tego plakatu na tyle dokładnie, na ile było to możliwe, dostając przy tym szału, bo Bonus zażyczył sobie, że ma być 1:1, tylko większy, c'nie?

Zapłacić zapłacił, więc nie mogę narzekać, ale cały event, który planował, spalił na panewce, bo zanim zdążył go zorganizować, to psiarnia wjechała go za kratki za jakieś oszustwa, wyłudzenie kasy i chyba pobicie. Znajomy znajomej znajomego Zuzki, który go znał, puścił potem w obieg wieść i w końcu dotarła do nas.



Człowiek renesansu

Jak już wam mówiłem, moi kochani, w biurze mieliśmy przeróżnych gości odwiedzających nas raz na jakiś czas w godzinach pracy. Mieliśmy również jednego specjalnego bywalca, dokładniej właściciela mieszkania, który dla przypomnienia wynajmował go nam po kosztach, bo i tak potrzebował jakiegoś pewnego miejsca, w którym mógłby raz na jakiś przespać parę nocy. W porządku był i w sumie mógłby chyba napisać na temat swojego życia książkę. A jeśli nie, to przynajmniej serię past. Ja postaram się spisać przynajmniej wierzchołek góry lodowej, jakim było jego szalone życie, o którym nasłuchiwałem się tego i owego.

Gość był trzeciego pokolenia skrzypkiem, który ukończył jedną z bardziej prestiżowych szkół muzycznych w kraju, z jakimś tam wyróżnieniem Piotra Łuszcza. Jego matka, skrzypaczka, wyjechała do Kanady, a jemu zostawiła jedno mieszkanie. Potem z roweru spadła jego babcia, też skrzypaczka, i dostał w ten sposób drugie. Jedno zaczął wynajmować, w drugim chwilę mieszkał i przy okazji zaczął się parać tatuażem. Później stwierdził, że to mieszkanie też wynajmie, a sam wypierdolił na Wyspy, gdzie załapał praktykę w jakimś salonie tatuażu, nawet wyrobił sobie tam jakieś imię podobno.

Dniami dzierał klientów, po nocach podobno uczył się lakierować samochody w jakiejś ormiańskiej dziupli, bo brat Ioszki, z którą mieszkał i którą oczywiście jebał mocniej niż Azerbejdżańscy najeźdźcy granice jej ojczyzny, robił tam za jakiegoś blacharza czy coś. Uznał więc, że skoro już był artystą i miał pewną rękę, to furę też pewnie dałby radę pomalować, c'nie?

Trochę sobie dzięki temu dorobił, wrócił do Polski i za oszczędności kupił trzecie mieszkanie, w którym pierwotnie miał urządzić własny salon tatuażu, ale nie wyszło, więc wyremontował je powolutku i poszło pod wynajem. Po paru latach miał przeistoczyć je w biuro, w którym Zuzka otworzyła naszą agencję.

Tych dwoje poznało się w ogóle na jakimś koncercie i na jej osiemnaste urodziny wydzierał jej na ramieniu pączka, w sensie tego amerykańskiego donuta, z uśmiechniętą minką, takimi jakby napompowanymi disneyowskimi rękami jak u Myszki Miki, i jakimiś pasującymi do tego stylu nogami.

Najlepsze w jego historii jest to, że mimo że miał trzy mieszkania, to w gruncie rzeczy był bezdomny, więc jak się dało, to sekretnie sypiał w biurze, a jak nie, to zabierał śpiwór do którejś z trzech piwnic i tam sobie potajemnie nocował, czytając przy latarce albo świeczce prace wybranych filozofów, planując rozpoczęcie studiów na tym kierunku. Co też zrobił, ale po semestrze uznał że on to pierdoli, bo wykładowcy przynudzają i nawet najbardziej fascynujące prace potrafią dokumentnie obrzydzić.

Wyjechał więc na polibudę żeby robić inżynierkę z jakiegoś ultra technicznego kierunku, chyba mechatroniki czy robotyki.

Minęło pięć lat, skończył kierunek, załapał fuchę w jakiejś firmie na drugim końcu kraju, która zaczęła go wysyłać na „delegacje” do przeróżnych krajów, od Niemiec po Chiny, do jakichś fabryk samochodów, gdzie robił coś przy robotach na liniach produkcyjnych chyba.

Do Polski wracał może na parę dni raz na kilka miesięcy, gdy wygasała mu wiza albo kończył się mu jakiś kontrakt. Wtedy właśnie nocował w biurze, czasem też po nocy tatuował albo kłut jakichś swoich znajomych.

Siostra opowiadała mi, że jednego wieczora wrócił z delegacji akurat, gdy przyjechała żeby odebrać z biura Zuzę, i wpadły na niego. Izka w pierwszej chwili trochę się go przestraszyła, bo był dwukrotnie wyższy od niej, trzykrotnie szerszy, z łapami pokrytymi dziarami i brodą na pół ryja. Podeszedł do niej, uśmiechnął się, skłonił nisko i ucałował jej, jebany, rączkę, po czym pogadał chwilę z Zuzką, która od razu zauważyła, że zrobił sobie tunele w uszach. Jak się okazało śrubokrętem i nożem do tapet na przerwie w robocie. Iza, usłyszawszy to, od razu pobladła, a gdy sekundę potem jej ukochana rzuciła beztrosko, że może też by sobie takie zrobiła, myślała, że zemdleje.

Ciekawość szczęśliwie zabiła kota. Zuzka zapytała się typa, jak ucho wygląda bez wciśniętego w nie kołka, i kiedy zobaczyła obwisłą plastelinową skórę, nierówną dziurę i poczuła odór, jaki się z niej wydobywał, też, do pary z Izką, pobladła i prawie się porzygała.

Ku niesamowitej uldze mojej siorki stwierdza z obrzydzeniem, że jej dwie dziurki aż nadto wystarczą i nie będzie kombinować z tunelami.

Ja też mogę się pochwalić małą przygodą z naszym najemcą w roli głównej. Pamiętam, jak przyszedłem kiedyś do roboty jako pierwszy z całej ekipy, wszedłem do środka i zobaczyłem, że biurko Szarej Myszkę było owinięte folią kuchenną i zajębane kubeczkami z tuszem, a przy kaloryferze leżeli zawinięci w jeden śpiwór on z jakąś loszką, której pierdolnął na udzie wierną kopię La Scapigliaty, tylko w przeciwieństwie do oryginału dokończoną. Zobaczył mnie i wyciągnął rękę nad tą swoją Karyną żeby mi uścisnąć dłoń, przedstawił nas sobie i poprosił żebym dał im minutkę, bo muszą się ubrać. Sytuacja była dla mnie tak randomowa, że powiedziałem żeby się nie spieszyli, bo ja idę zrobić sobie herbatkę i zapytałem, czy też chcą.



Wizyty Szymiego

Agencja była dla nas takim małym klubem czy tajną bazą, jedną z takich, które budowaliśmy z przyjaciółmi z gałęzi i śmieci w podstawówce. Nie mieliśmy ani tajnych hasel umożliwiających wstęp, ani tym bardziej kart czy aktów członkowskich, ale sama atmosfera luzu sprawiała, że nikt z nas nie czuł się jak w pracy. Coś tam niby robiliśmy, czasem gdzieś zadzwoniliśmy, ale w sumie to wychodziliśmy rano z domów nie do pracy, tylko na ośmiogodzinne spotkanie towarzyskie.

Oczywistym jest chyba, że w związku z takim stanem rzeczy raz na jakiś czas składali nam odwiedziny jacyś losowi goście, tak po prostu żeby pogadać i się pośmiać, bo wiedzieli, że prawie zawsze znajdzie się na to czas.

Najczęściej z wizytami wpadał do nas Szymi, jeśli akurat miał w robocie jakąś cmentarną zmianę i nie chciało mu się siedzieć w domu z męczącą żoną z wieczną postawą roszczeniową. Zawsze lubiłem jak wpadał, bo nieświadomie generował potężne inby.

Póki co powiedziałem ogólnie o Szarej Myszcze że cierpiała z powodu zaburzeń psychicznych. To w ogóle większa historia, i do tego smutna, więc póki co pozwólcie, że nie będę wdawał się w detale. Poprzestaśmy na tym, że poza lekami i terapiami próbowała sobie radzić z tym wszystkim różnymi możliwymi niekonwencjonalnymi sposobami, od ćwiczenia jogi i medytowania (czasem w biurze) po picie jakichś ziółek. No i akurat pewnego pięknego dnia, gdy zawitał u nas Szymi, w pewnym momencie Szara Myszkę bardziej do siebie niż do nas rzuciła pod nosem:

- Skończyła mi się ashwagandha...

A ten, kurwa, bez słowa wstał, podszedł do niej niczym największy dżentelmen, z kieszeni wyciągnął skręta i jej podał, mówiąc:

- Joł, co prawda to moja własna domowa odmiana, ale ganja to ganja.

Jak śmiechnęliśmy wszyscy, to nie mogliśmy się wyciszyć przez jebany kwadrans. Sebek musiał powiedzieć przez telefon klientowi, że oddzwoni do niego za moment, bo łyż mu ciekły po policzkach. Nawet Myszkę wtedy gniła ostro i dobrze się poczułem na ten widok, bo rzadko kiedy w ogóle się uśmiechała. Co nie zmienia faktu, że mogła być wtedy chociaż bucha, bo gównem z uprawy Szymiego było mocarne w chuj, raz jak palił je u siebie w mieszkaniu, to porobiło nawet jego kilkuletniego syna w pokoju obok.

Innym razem Zuza kupiła z kimś na spółę namiot imprezowy, który później chciała wykorzystywać na targach, jeśli jakiś klient chciałby mieć stoisko wystawiennicze na dworze, plus wypożyczać na jakieś wesela i inne imprezy w plenerze. Przywiózł go kurier i dla pewności musieliśmy sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku i czy w zestawie niczego nie zabrakło. Tak się złożyło, że akurat przyjechał do nas do biura Szymi, który zadeklarował się, że pomoże mi go rozłożyć na trawniku pod blokiem, w którym mieściło się biuro. Mieliśmy jeszcze trochę czasu do końca dniówki, więc luz.

Postawiliśmy go we dwóch w parę godzin, dokonując skrupulatnej inwentaryzacji, w sensie spisywałem każdy jeden element i porównywałem go z listą dostarczoną przez producenta, po czym wreszcie, spojrzeliśmy na efekt finalny, dumni ze swojej pracy, i nagle ni z gruchy, ni z pietruchy Szymi zapytał się mnie:

- Ty, ej, ale fajnie by się w nim paliło, bo to taka komora gazowa trochę jak się go zamknie, c'nie?
- No... ale nie pal w nim, bo on jeszcze nowością pachnie.
- Nie nowością, tylko gumą i smarem. I w ogóle to nie pachnie, tylko śmierdzi, i to na real, więc nikt się nawet nie połapie, jak w nim zajaram na szybko.
- Ale po kiego chcesz palić w nim, a nie w swojej furze albo łazience? Na to samo wyjdzie, też się zagazujesz oparami.
- Nie wiem, zię. Po prostu tak myślę, że spoko by było, czaisz? Jak ktoś się mnie kiedyś spyta, czy paliłem w namiocie weselnym, to im powiem że tak, i że było w dechę.
- Czemu ktokolwiek miałby się ciebie pytać, czy paliłeś w namiocie? To jakiś normalny temat rozmów na haju?
- Nie no, nie wiem, ale przezorny zawsze ubezpieczony!

Nie mogłem się spierać z siłą tego argumentu, więc dałem mu w końcu wejść do środka i spalić na szybko blanta.

Minęła minuta, dwie, aż nagle zza bloku wyszła żwawym, żeby nie powiedzieć skocznym krokiem Zuzka, która przez okno doglądała naszych prac i nie umknęło jej uwadze, że namiot już pięknie sobie stoi.

- Łał, robi wrażenie. Jest większy niż myślałam! - Rozentuzjowała się, przyglądając mu pod różnymi kątami. - A tak w ogóle to gdzie się zapodział Szymi?

Pomyślałem sobie „przypał” i powiedziałem jej, że przeprowadza kontrolę w środku.

- Przez „kontrolę” rozumiem że pali trawę, a ty stoisz na czatach, co?
- Wiesz, gdy tak to ubierasz w słowa, to bardzo kiepsko to brzmi.
- Dużo mu jeszcze zostało?
- Nie wiem, nie zaglądałem. - Przyznałem zmieszany. - Dopiero co pewnie odpalił.

Nie wiem jakiej reakcji się po niej w tamtym momencie spodziewałem, ale mózg mi ostro zarapował, gdy zapytała mnie:

- Postoisz jeszcze trochę na czatach, Miśku?

To powiedziawszy, weszła do namiotu i we dwoje wypalili w środku do końca tego skrzęta. Efektów chyba nie muszę wam szczególnie dokładnie opisywać – zajebali się tak, że ledwo z niego wyszli, a oczy mieli tak czerwone i zapuchnięte, że wyglądali, jakby ktoś psiknął im w nie gazem pieprzowym.

Ktoś musiał złożyć namiot, bo inaczej pewnikiem zostałby zajebany przez złomiarzy albo rozjebrany przez dresiarzy. Przystąpiłem więc do pracy i w okolicach piątej, czyli naszego ustawowego końca dniówki, udało mi się zdjąć i złożyć jego pokrycie. Szkielet wciąż stał nienaruszony. Oczywiście wszystko robiłem sam, bo tamtych dwoje fazowało ostro na murku piaskownicy obok, śmiechając non stop z najbardziej losowych komentarzy.

- Makkalej Kalkin. - Rzuciła zajebana w trzy dupy Zuza. Do łez śmiali się z tego przez chyba pięć minut, aż do momentu, gdy nie przyjechała moja siostra. Spojrzała na mnie, spojrzała na nich i wyraźnie chciała coś powiedzieć, ale przetarła tylko oczy, kiwając z niedowierzaniem głową.

- Kochanie moje, ale ty dzisiaj ślicznie wyglądasz! - Zaszcebiotała półprzytomnie moja szwagierka. - No schrupałabym cię żywcem!

- Schrupałabyś, bo jesteś tak upalona, że złapała cię gastrofaza.

- No... – Przyznała szczerze. - Co nie zmienia faktu, że piękna jesteś. Nawet bardziej niż Makkalej Kalkin!

Iza nie była pod wrażeniem tej gadki, nie skwitowawszy jej nawet zdawkowym komentarzem. Podeszła do mnie i stwierdziła, że trzeba tych dwoje odwieźć do domów. Nie gówno, Szerlok, tylko co z namiotem? Ktoś go musiał złożyć z wiadomych powodów, co też jej wyjaśniłem, a że był bydlak wielki, to sam miałbym równie wielkie problemy robiąc to samemu. Drugim problemem było to, że Iza przyjechała do nas prosto ze swojej pracy w spódniczce ołówkowej i szpilkach.

Skończyło się na tym, że siłą podkradła Zuzie trampki z nóg, wysłuchując jej pisków że też jest napalona, ale że pod blokiem to nie przystoi tego robić.

Do ósmej wieczorem rozbieraliśmy we dwoje ten przekłęty namiot, a potem władowaliśmy do samochodów wesołków i odstawiliśmy na chatę żeby się przespali i wytrzeźwieli.

Na koniec zebrałem następnego dnia zjebkę od żony Szymiego, że wyżarł w nocy pół lodówki, jakby była to moja wina.

I gdzie tu sprawiedliwość?

Trzecia akcja z Szymim miała miejsce już zakulisowo i nie byłem jej świadkiem. W telegraficznym skrócie wpadł do nas do agencji w towarzystwie Emila, obaj byli już trochę porobieni, ale później doprawili się jeszcze bardziej i tak wesoło fazowali na kanapie, podczas gdy my sobie spokojnie pracowaliśmy. Nie wadzili nam, no, może z wyłączeniem Szarej Myszki, ale ona generalnie nie lubiła obcych i do mnie musiała przekonywać się ładne dwa tygodnie, byśmy mogli prowadzić jakąś naturalną, w miarę luźną rozmowę. Nie było więc problemu i nikt ich nie wyganiał.

Pod koniec naszej dniówki przyjechała Iza żeby zabrać Zuzkę i mnie na zakupy, bo meblowały sobie duży pokój. Ja oczywiście miałem pomóc z dźwiganiem ciężarów, ale po czasie spędzonym w agencji nabrałem już minimalnego obycia z programami graficznymi i mogłem szpanować znajomością na przykład teorii kolorów, czując się z tego powodu jak poważny artysta albo znawca sztuki.

- Ej, a co jedziecie kupić? - Zapytał Emil.

- Chciałybyśmy sobie wstawić do pokoju szezlong. - Odpowiedziała moja siostra.

Nastała chwila ciszy, podczas której obaj wymienili się spojrzeniami. Jeden wzruszył ramionami, drugi pokiwał głową, po czym bełkotliwie zapytał:

- Co?

- Co „co”? - Teraz zapytała Zuza, wkładająca kurtkę.

- No ten... no... szel...

- Szezlong. - Ponownie odpowiedziała siorka, czysto i wyraźnie.

- No... a co to?

- No taka fikuśna sofa. Można się na niej położyć i w ogóle. - Wyjaśniła szwagierka. - Co, kochani, jestem gotowa. Jedziemy?

- Ej, joł, czekajcie... a jak ten, znacie takie słówka jak szelznong, to wiecie co to jest ptasznik? - Zapytał zajebrany Szymi.

- Pająk. - Odpowiedziała mu siorka, przecierając z niedowierzaniem oczy.

Ćpuny znowu spojrzeli po sobie głupkowato.

- Co? - Wyjął Emil.

- A to nie jest czasem ten domek dla ptaszków gdzie się je karmi? - Zastanowił się Szymi.

- Nie. To byłby karmnik. Ptasznik to pająk. Chłopaki... może prześpijcie się trochę, co? Za dwie godzinki byśmy po was wrócili i odwieźli do domów?

- Nie, pora na nas, bo czekają na nas na kwadratach...

Wstali, choć ledwo co, i już kierowali się do wyjścia, gdy Szymi zapytał jeszcze na koniec:

- Dziewczyny... a co to jest szezong?

- Taka na poły sofa i na poły fotel. - Mojej siostrze już się na płacz chyba zaczęło zbierać, a jeśli nie, to przynajmniej na poważny kryzys egzystencjalny, ale odpowiedzieć odpowiedziała.

- A po co wam on?

- Żeby się na nim kochać. Dobrze nam to robi na kręgosłupy. A teraz do widzenia, papatki, moi mili, ale zamykamy interes. - Wygoniła ich Zuza i wreszcie sobie poszli.

Obie dziewczyny odetchnęły z ulgą, bo średnia IQ w pomieszczeniu momentalnie podskoczyła wyżej od Terki na parkourowym wypadzie.

W telegraficznym skrócie - pojechaliśmy we troje do sklepu, kupiliśmy co mieliśmy kupić i usłyszałem, że w kieszeni dzwoni mi telefon. Spojrzałem na wyświetlacz i zobaczyłem imię Szymiego. Z początku przemknęło mi przez myśl żeby nie odbierać, ale jakiś cichy głosik z tyłu

mojej głowy podpowiedział mi żebym to zrobił, bo ostatni raz, gdy widziałem tych dwóch, byli w takim stanie, że nie zdziwiłbym się, gdyby zwinęła ich psiarnia albo nie wiem, może odjebali coś i potrzebowali pomocy.

- No hej, co tam? Lepiej już wam?

- Joł, wytrzeźwiliśmy już, ale słuchaj, przypał jest...

Kurwa, wiedziałem!

Co odjebali, zapytacie? Wyszli z naszej agencji i poszli na parking, bo jak się okazało, przyjechali do nas samochodem. Nigdy bym się nie domyślił, że w takim stanie któryś z nich mógłby prowadzić – gdybyśmy wiedzieli, to zamknęlibyśmy ich na klucz w biurze albo sam bym ich odwiózł. Ale nie. Oni przyjechali sami i chcieli sami odjechać.

Wsiedli do fury, tak nawiasem należącej do żony Szymiego, no i kierowca stwierdził, że jest tak zajebany, że nic nie widzi i powiedział przyjacielowi żeby wysiadł i go pokierował. Co ten zrobił. Pokazał mu żeby cofnął, trochę odbił w lewo, potem w prawo, stop, wszystko szło gładko, znowu cofnął... i nagle jeb, Szymi wjechał w zaparkowany równolegle przy drodze samochód, którego ani jeden, ani drugi najwyraźniej nie widzieli!

Jak to możliwe? Nie wiem. Nigdy nie słyszałem żeby ktoś spowodował na parkingu stłuczkę, mimo że miał do pomocy kogoś, kto w teorii miał mu pokazywać gdzie powinien jechać i ile jeszcze miejsca zapasu ma.

No naprawdę, ja pierdołę, gdybym usłyszał o czymś takim, to nigdy bym nie uwierzył, że może to być prawda, bo przekracza wszelkie znane mi granice głupoty.

Ćpuny szybko spierdoliły z miejsca wypadku i sprawa rozeszła się po kościach, chociaż przez najbliższych kilka miesięcy nie przyjeżdżały do nas do biura w odwiedzinach.

Z tego co wiem, to Szymi udawał przed żoną głupa i jak zauważyła wgnieciony zderzak, to powiedział jej wściekły, że ktoś na osiedlu pewnie jej puknął furę, bo on jak ostatnio ją widział, to była w porządku, bez jednej ryski.



Stażysta Mati

Fajnie jest mieć znajomych od wszystkiego, którzy zawsze w czymś pomogą, jakkolwiek losowe by to nie było, ale znajomości to drogi dwukierunkowe, więc czasem zdarza się, że z czystej przyzwoitości trzeba zrobić coś dla kogoś. Tak było na przykład z Szarą Myszką w naszej agencji – w szkole piątki i czerwone paski na koniec każdej klasy, potem skończyła jebane ASP i planowała robić albo drugi kierunek albo jakieś ekstra podyplomowe gówno, a do tego wyjść za mąż, ale w pewnym momencie wszystko pierdołnęło, ona została najpierw zalana, a zaraz potem dostała załamania nerwowego, trafiła do psychiatryka i kiedy wyszła, zrobiła się... nie wiem, taka nienaturalnie cicha, spokojna i niemrawa, stąd nazywam ją właśnie Cichą Myszką. Zero werwy, zero energii, przypominała wykastrowane zwierzę, któremu wszystko jest obojętne. Po powrocie do świata żywych próbowała znaleźć jakąś pracę w zawodzie, ale chuj z tego wyszedł, bo wszyscy jej dotychczasowi znajomi poszli w swoje strony i olali „wariatkę” ciepłym moczem, no i na bezrobociu przesiedziała parę lat, będąc w najlepszym wypadku

postrzegana przez otoczenie nierozumiejące jej problemów za kompletnego lenia, potem załapała fuchę w budżetówce na kolejnych kilka. Przez rodzeństwo czy kogoś poznała przypadkiem Zuzkę, a ta, właśnie trochę z takiego przymusu, wisząc komuś przysługę, zatrudniła ją w swojej nowoagencji, co koniec końców okazało się pomysłem wspianiałym.

Dużo gorszym pomysłem natomiast było zatrudnienie u nas stażysty, takiego suchego typka z wyglądu będącego skrzyżowaniem Bartasa z Verby z Terką. Znaczy się vloggerem, a nie szczyłem z mojej licealnej klasy.

Był konkretnie zjebany i gdyby poszedł do ZUSu ubiegać się o grupę inwalidzką z tytułu upośledzenia umysłowego, to by ją dostał od ręki, w dodatku bezterminowo. Skąd się zatem u nas wziął, zapytacie? Już wyjaśniam.

Jeśli pamiętacie, stary Zuzy miał wtyki i znajomości dosłownie wszędzie. Przy nim kontakty jego córki wydawały się skromne i nieznaczące. Kolegował się z jednym wójtem, który zaprosił go do siebie z rodziną na obiad. To było jeszcze na długo, nim w ogóle ją poznałem, byliśmy wtedy ledwie licealistami. Sędzia Andrzej Marian Wesołowski zapakował żonę i dzieci do fury i pojechali. Na miejscu okazało się, że w posiadłości wójta, bo tak, oczywiście mieszkał w posiadłości z jakąś kurwa stadniną, pełnowymiarowym basenem i prywatną kapliczką (!), czekał też na nich arcybiskup.

I teraz kurwa najlepsze, na jego widok stary Zuzki padł przed nim na kolana, pierdolony, ze spuszczoną głową. No ja jebię, podobno jak pierwszy raz Zuza opowiadała to mojej siorce, to sama uklękała, płacząc ze śmiechu i wstydu, bo jako szesnastolatka chciała się pod ziemię zapaść na widok ojca.

Poszli w końcu jeść, i nawet mimo tego, że moja szwagierka wychowała się w bogatym i uprzywilejowanym domu, takich bogactw jak tam to ona nigdy wcześniej i później nie widziała w życiu. Całe pomieszczenie wyglądało ponoć jak żywcem wyjęte z jakiegoś filmu, nawet kurwa łeb dzika nad kominkiem wisiał.

P.S. To prawda.

Jedzenie znaczyło ni mniej, ni więcej tyle, że najpierw zgromadzeni odmówili jakąś modlitwę, a potem gospodarz, czyli wójt, przedstawił Andrzeja arcybiskupowi, zgodnie z poglądem, że hehe, dobrzy ludzie powinni znać dobrych ludzi. Szybko przeszli do rzeczy, czyli przekonywania go żeby zainterweniował w takiej jednej sprawie, bo jego brat cioteczny ostatnio miał drobną stłuczkę, no spieszył się na mszę i ktoś mu niespodziewanie wyleciał na skrzyżowaniu i wymusił z drogi z pierwszeństwem. Wyszło, że to był jakiś chłopaczek nieco starszy ode mnie wtedy, o może dwa lata, który dopiero co zrobił prawko, a wiadomo jak to jest z młodokierowcami, oni powodują większość wypadków, że jak tak można nie mieć oczu dokoła głowy jak się wjeżdża na skrzyżowanie, nieważne czy z drogi z pierwszeństwem czy bez, bla bla...

Arcybiskup co chwila tylko przytakiwał głową znad złożonych jak do modlitwy rąk, jak jebany don Corleone.

Skończyło się tak, że sędzia Andrzej Marian Wesołowski obiecał pomóc w tej sprawie i pociągnąć za parę sznurków jeśli tylko będzie w stanie. Nie wiem, co się stało z tym

chłopaczkiem, ale znając Polskę śmiałem zgadywać, że został konkretnie wyruchany finansowo, bo trafić chciał, że brat cioteczny wójta woził się jakąś limuzyną za kilkaset tysięcy. To jednak w sumie nieistotne dla opowieści. Nadszedł wieczór, obiad, czy tam kolacja się skończyła, goście zaczęli się zbierać do wyjścia, wójt ucałował rączki matki Zuzki, a jej ojciec z kolei wyciągnął rękę do arcybiskupa, w której miał zrolowane dwie stówki. Tak jest, skurwysyny. To on miał wyświadczyć im przysługę, a skończyło się na tym, że jeszcze arcybiskupowi za ten przywilej zapłacił! No ja jebię, to jakieś odwrócone do góry napletkiem quid pro quo.

Całą drogę do domu podobno był w wyśmienitym humorze i bez przerwy pierdolił, że z tego wójta to dobry gość i praworządny katolik, bo gdyby takim nie był, to przecież bogie nie obdarzyłby go takimi bogactwami. Nie dalej niż tydzień od tego obiadu sędzia Andrzej Marian Wesołowski miał wypierdolić wszystkie graty ze schowka w korytarzu i zrobić w nim sobie kapliczkę, bo tak zazdrościł tej wójta.

No dobra, ale co to ma wszystko, kurwa, wspólnego z naszym stażystą? Otóż był siostrzeńcem tego wójta. Pierwszego dnia przywiózł go do naszego biura szofer, bo chłopaczek był tak kurewsko tępy, że nie potrafił nawet ogarnąć rozkładu jazdy pociągów albo busów, mimo że, kurwa, studiował w sąsiednim mieście. Ojcowie jego i Zuzy próbowali ich trochę swatać swego czasu, bo młodzi znali się pobieżnie dzięki takim szemranym spotkaniom towarzysko-biznesowym jakie opisałem wyżej, a poza tym fajnie byłoby połączyć oba rody, ale Zuzka była dla Matiego zbyt szalona, a Mati dla Zuzki zbyt nudny i tępy. A potem, jak wyszło szydło z worka i Zuza wyjawiała rodzicom, że jest bi i w dodatku w szczęśliwym, stabilnym związku z kobietą, to już w ogóle rozjebała im wszystkie misternie knowane plany. Nie żeby wcześniej nie próbowała, bo ostro dziadziusiowała starych nie raz, nie dwa, ale wtedy wreszcie jej się to udało w pełni.

Matiego zatrudniła na ten staż w formie pracownika biurowego, bo mimo wszystko wójt był zawsze dla niej w porządku, a ona nie widziała powodu żeby go nie zatrudniać, skoro za wszystko będzie płacić urząd pracy. Nie wiedziała jeszcze, jakim debilem Mati naprawdę jest.

Stażysta miał nam pomagać przy sprawach biurowych, czyli innymi słowy być asystentem od wszystkiego i niczego zarazem. Jak trzeba było coś wyliczyć, skatalogować, wydrukować, wysłać albo poszukać, to on miał to robić. Bardzo wziął sobie do serca tę funkcję i nie powiem, jak Zuza mu coś mówiła, to robił to bez zająknięcia. Sęk w tym, że na początku robił cokolwiek tylko wtedy, gdy Zuza mu coś mówiła. Reszty zespołu nie słuchał, traktował nas jak śmieci, uważając chyba, że jest jej osobistym asystentem i zarazem drugą najważniejszą osobą w biurze.

Szybko sprowadziliśmy go na ziemię, ale zanim to nastąpiło, zrobił nam ostry przypał przed jednym ważniejszym klientem. Gość był ekscentrycznym prezesem firmy budującej domy i uważał, że dzięki reklamie zabłyśnie i jego projekty będą zdobywały tysiące lajków w sieci i będą o nich mówić w każdej gazecie i na każdej stronie tematycznej. Też go szybko sprowadziliśmy na ziemię, ale każdego miesiąca przynajmniej raz wpadał do nas do biura na poważną naradę z Zuzą w sprawie dalszych strategii marketingowych, zaakceptowania propozycji postów w społecznościówkach i tym podobnych. Zwykle trwało to coś koło godziny-dwóch, bo był gadułą nawet większą od niej.

Tego dnia siedzieli właśnie w jej gabinecie, podczas gdy cała reszta naszej ekipy pracowała tudzież opierdalała się w dużym pokoju robiącym za nasze centrum operacji. Dochodziło południe, zrobiłem się trochę głodny i zapytałem Sebka-Łokietka, Myszkę i Matiego czy nie chcą czegoś z Biedry, bo idę kupić sobie jakieś gęsiwo.

- Ale przecież nie można ot tak wychodzić z pracy! - Oburzył się ten ostatni, jebany służbista.
- Można, i właśnie to robię. - Odburknąłem, biorąc od Myszki kasę na jakieś ziółka uspakajające.
- Ale... tege... nie można, powiem Zuzannie!
- To mów. Przy okazji możesz się jej zapytać czy też coś chce.

Nie przyszło mi do głowy, że idiota naprawdę pójdzie się jej poskarżyć. Pobiegł do drzwi jej gabinetu, otworzył je i rozjebał to jej spotkanie służbowe, donosząc jej, że chcę bez odgórnej zgody iść do sklepu i że śmiem sobie żartować z jego poważnej osoby, każąc mu się jej retorycznie zapytać czy czegoś chce. Myszka to myślałem dostanie jednego ze swoich ataków paniki przez kretyna, jak rozpoczął swoją tyradę.

Szwagierka ze spokojnym wyrazem twarzy, ale z zimną furią w oczach, wyprowadziła go z gabinetu i szepnęła mi jeszcze żebym kupił jej czarne Frugo. Przytaknąłem, ona wróciła do prezesa, i gdy już zbierałem się do wyjścia z biura, wybiegła raz jeszcze, bo prezes zapytał, czy mógłbym przy okazji mu kupić jakąś ice tea, bo go suszy trochę po oddaniu dzień wcześniej klientowi domu pod klucz, co oczywiście wszyscy uczcili.

Druga akcja z niechlubnym udziałem Matiego miała miejsce w ostatniej minucie ostatniej godziny ostatniego dnia jakiegoś przetargu. Jeśli jeszcze wam nie powiedziałem, to teraz mówię – w biurze robiliśmy prawie że wszystko na absolutnie ostatnią chwilę. Od poniedziałku do czwartku luz i opierdalanie się, w piątek zapierdol żeby zdążyć ze wszystkim, co się w tygodniu nagromadziło. Groziłoby to poważnymi problemami dla naszego zdrowia fizycznego i szczególnie psychicznego, ale chuj w to, bo w czteroosobowym zespole jedna miała stwierdzoną hiperaktywność, druga nerwicę, depresję, agorafobię i lęki, trzeci depresję, a czwartemu łokieć sam wygrywał „intergalactic planetary, planetary intergalactic”² za każdym razem, gdy wyciągał rękę po kubek. Także gorzej być nie mogło.

Gdy składaliśmy jakąś ofertę na dowolne zapytanie, w dziewięciu przypadkach na dziesięć wysyłaliśmy je na ostatnią chwilą przed upłynięciem deadline’u, dostając z nerwów palpitacji, bo gdyby przycięto nam internet albo po drodze coś się stało i mail nie dotarł przed wybiciem umówionej godziny, to nasza praca poszłaby na marne, nawet nie zostałaby rozpatrzona. Także stawka była wysoka.

W krytycznych sytuacjach, gdy nie udawało nam się wyrobić ze wszystkim na czas, Zuza wysyłała maila z częścią załączników, a potem dla „pewności” dzwoniła, prosząc zleceniodawcę o potwierdzenie, że wszystko bezpiecznie doszło. Oczywiście parę minut później dostawała odpowiedź zwrotną, że jest tylko część tego, co wymagane, co ta zwałała na błąd sieci i obiecywała dostać brakujące pliki tak szybko, jak to tylko możliwe.

Nie zdarzyło się, żebyśmy choć raz zostali wykluczeni z przetargu przez taką inbę. Ale jednym razem było blisko. Zgadnijcie z czyjego powodu?

Nie pamiętam czego dotyczył ten konkretny przetarg, ale mimo wysokiego tempa pracy nie udało nam się wyrobić czasowo i Zuza wysłała mailem część skłonej na kolanie dokumentacji, podczas gdy Seba z Myszką coś tam jeszcze modzili.

Nie wiem dlaczego, ale Mati w tym momencie postanowił urządzić samowolkę i zadzwonił do zleceniodawcy. Znał najwyraźniej procedurę, tylko że zawsze dzwoniła osobiście szefowa. Może chciał jej ulżyć albo się przypodobać, nie wiem, ale podczas gdy nasza czwórka dyskutowała o tym, co jeszcze Sebek z Myszką mogą poprawić, żeby nasza oferta naprawdę dobrze się prezentowała, on za naszymi plecami wykręcił numer i:

- Halo? Dzień dobry. Mati z agencji Viszą & Viszą, chciałbym poinformować panią, że nie wystaliśmy kompletnej oferty.

Zuzka się poderwała, łaps mu za telefon i zaczęła tłumaczyć, że wystaliśmy komplet, ale mieliśmy tego popołudnia problemy z wi-fi i byłaby bardzo wdzięczna, gdyby sprawdzono kompletność naszego maila.

- Ale Zuzanno, przecież Seba robi teraz...

- Zamknij się i nic nie mów. - Syknął mu Seba, przykładając palec do ust. Myszka w tym czasie rzucała za swoim monitorem, bo dostała ataku paniki przez idiotę-stażystę.

Przetargu koniec końców chyba nie wygraliśmy, ale przynajmniej nie zostaliśmy zdyskwalifikowani za niedotrzymanie terminu złożenia oferty.

Trzecia inba Matiego w sumie nie była zabawna z jego powodu, ale to on odegrał w niej centralną rolę. Wróćmy na moment do jego ojca, wójta od kapliczki i dzika nad kominkiem. W jego wsi były trzy przyległe do siebie pola - lewe należące do jego ziomeczka, środkowe należące do menela z wbitym użytkowaniem wieczystym ziem i niezdolnością do pracy orzeczoną przez ZUS, i prawe, które właściciel wystawił na sprzedaż i zainteresował się nim jakiś inwestor.

Ziomeczek wójta szybko nawiązał z inwestorem kontakt, otrzymawszy od przyjaciela niedostępne dla publiki informacje, i padł pomysł, by zwiększyć skalę całego projektu i postawić w tym miejscu cały kompleks magazynowy. Był jeden problem – środkowe pole. Wiem tyle, że jego zapijaczony właściciel nie chciał go sprzedawać, bo i dlaczego miałby? Miał użytkowanie wieczyste i rentę, więc żył tam i żarł, w gruncie rzeczy nie wadząc przy tym nikomu. Nikomu poza sąsiadami, którzy narzekali, że to jedna wielka melina, tym bardziej, że wieś przeradzała się w kolonię dla klasy średniej wyższej, migrującej tam z miast i budującej posiadłości tak jak w sumie starzy Zuzy wcześniej.

Skoro więc nie chciał ziemi sprzedać, trzeba było zorganizować jakąś akcję żeby się go stamtąd pozbyć. Na dniach znikąd zaczęły się na jego posesji pojawiać góry śmieci i z każdą jedną nową na policję wpływał tuzin nowych skarg od sąsiadów, którym to przeszkadzało. Po nocach ulicą przechadzały się napierdalone do nieprzytomności Janusze i Seby, drąc ryje, rzucając butelkami, a potem nagle znikwały bez śladu, dotarłszy do skrzyżowania. Potem wpłynęły jakieś anonimowe skargi do ZUSu, że właściciel środkowej posesji jest zdolny do pracy i tylko udaje niezdolnego, przepierdalając rencinę na chłanie. Dostał więc termin orzeczenia lekarskiego, pojechał skacowany do ZUSu i okazało się, że jednak jest zdolny do tej pracy! Nie wiem, czy lekarza orzecznika ktoś przekupił, czy sam z siebie wystawił taki a nie inny werdykt,

ale koniec końców do sądu ojca Zuzy wpłynął wkrótce jakiś guwnowniosek przeciwko temu dziadowi, tylko nie wiem, czy to było coś związanego z sądową eksmisją, czy może zakłócaniem spokoju i negatywnym wpływem pijusów i śmieci na całą wieś. Wiem tyle, że typ miał zostać po wydaniu wyroku wyjebany z tego swojego pola.

W międzyczasie wójt dał właścicielowi lewego pola i inwestorowi od prawego namiary na naszą agencję, dając im oczywiście do zrozumienia, że pracuje tam jego syn i przy okazji córka dobrego znajomego, dzięki któremu skutecznie wypierdolą ze środkowej posesji pijaka. Wszyscy sobie pomogą przy tej inwestycji, ręka rękę umyje.

Zjawili się we dwóch w naszym biurze, chcąc gadać z Matim, bo chyba myśleli, że pełni funkcję prezesa, a nie chłopca na posyłki, który i tak z tym nawet miał problemy, bo jak go kiedyś wysłaliśmy do Biedry po chipsy i Liony, to skurwysyna nie było dwie godziny. Wyglądali jak żywcem wyciągnięci z jakiegoś filmu o mafii – jeden tysi, barczysty, w ramonesce, drugi w czarnym garniaku, czarnej koszuli z czarnym krawatem i w czarnych okularach.

Zaprowadził ich do gabinetu szefowej, przysiadł się obok niej i ułożył na biurku ręce, czekając na rozpoczęcie poważnych dyskusji na burzliwe czasy, taki z siebie dumny, że doszedł wreszcie na szczyt kariery w agencji.

- Napiją się panowie czegoś? - Zapytała Zuza gości.

Przytaknęli, mówiąc, że z przyjemnością napiliby się jakiejś kawki czy herbatki. Na co ona od razu:

- Mati, podasz panom napoje?

Jak wypierdolił z gabinetu, to myślałem, że zostawił w domu włączone żelazko albo ktoś mu spadł z rowerka. Szara Myszka i tak miała sobie parzyć melisę na uspokojenie, więc poszła za nim do kuchni żeby zobaczyć o co kaman. Zapytała go czy coś się stało, a on:

- NIC! - Pisnął, zanosząc się szlochem.

- Mati... czy ty... płaczesz?

- NIE! DAJ MI SPOKÓJ, CO?! PILNUJ WŁASNYCH SPRAW!

Jak parę minut później szedł do gabinetu z tacą i szklankami, to ukradkiem zauważyłem, że ma czerwone oczy i policzki, bo szefowa sprowadziła go niechcący na ziemię, pokazując przed klientami, że nie jest jej zastępcą, tylko zwykłym chłopcem na posyłki.

Typy w ogóle zjawily się u nas z prośbą wykonania paru billboardów i szyldów mających promować ich magazynową inwestycję. Chuj tam, że w momencie, gdy do drukarni wysłaliśmy projekty, oni dopiero zaczęli podrzucać pijaczkowi od środkowego pola śmieci na posesję, ale już mieli wszystko odgórnie zaplanowane i wiedzieli, że przejęcie jego ziemi jest tylko kwestią czasu i mogą zainwestować trochę kasy we wczesny marketing.



O balkonach, miłostkach i sąsiadach

Tak na upartego mogłem się nazywać artystą, nawet, jeśli moje prace zwykle były tworzone wedle ściśle określonych reguł w księgach znaków klientów i na bazie dostarczonych przez nich materiałów. Ale wiecie, było coś motywującego w tytule „artysty”, jakkolwiek naginany by nie był. Jak was widzą, tak was piszą, a czasem jak was piszą, tak się czujecie. I skoro byłem w swoim mniemaniu jakiejś maści artystą, postanowiłem zająć się w czasie wolnym czymś kreatywnym; padło na malarstwo.

W sensie zdecydowałem się pomalować balkon.

- Śliczny ten kolor, co nie? - Zapytała siedząca na krzesełku turystycznym Iza, sącząc sobie zimny napój. Bo tak, oczywiście wpadły do nas z Zuzką żeby nadzorować postęp moich prac.

- No, w pytę. - Odpowiedziała jej ukochana, siedząca sobie na parapecie. - My też powinniśmy chyba odświeżyć nasze barierki, jak myślisz?

- Zużyłem może jedną trzecią puszki farby, więc jak chcecie, to możemy w przyszły weekend umówić się na wspólne malowanie u was. Tylko będziemy musieli kupić wam pędzle. - Zaproponowałem.

- Ej, ale my też miałybyśmy malować, Miśku?

- A co, myślałyście, że przyjadę do was i odwalę całą robotę solo?

- No. - Odpowiedziały jednocześnie i wybuchnęliśmy wszyscy głośnym śmiechem.

- Heja, a co tu u was tak wesoło? - Na balkon weszła Jagoda, dając się wyściskać Izie, która dosłownie wyskoczyła ze stołka żeby się z nią przywitać.

- Próbuje przekonać wujka żeby pomalował barierki na naszym balkonie. - Odpowiedziała Zuza, również obejmując ciepło ramieniem małą. No, może już nie taką znowu małą. Nic tak nie sprawia, że człowiek czuje się staro, jak widok dorastającego młodszego pokolenia. Jagodę znałem od małego, pamiętałem, jak uczyła się chodzić i jak Iza albo Ewelina trzymały ją na kolanach, bawiąc jakimiś książeczkami z efektami dźwiękowymi, a teraz jej twarz niezaprzeczalnie zaczęła nabierać kobiecości, co zresztą potęgował jeszcze bardziej strój, już bynajmniej nie dziecinny. No niech mnie, jak ten czas zapierdala.

Jagoda wskoczyła na parapet koło Zuzy, założyła nogę na nogę i sprawdziła coś na telefonie.

- Wiesz, powinieneś pomalować ciociom ten balkon. - Uśmiechnęła się do mnie. - W końcu rodzinna powinna sobie pomagać, co nie?

- Powinna, moja droga, powinna. Dlatego chcę żebyśmy go wspólnie malowali we trójkę. - Wyszczrzyłem się jak Grinch. Szach-mat.

Nastolatka posmutniała nieco, zrozumiałwszy, że jej podstęp przyniósł odwrotny do zamierzonego skutek.

- Kurczę... sorki... - Przeprosiła dziewczyny za to, że niechcący je wkopała w brudną robotę. A przynajmniej w to wierząc.

- Aj tam, nie przejmuj się. I tak planowaliśmy pobrudzić sobie trochę łapki. Co nie, Izus? - Zuza wyściskała Jagodę żeby nieco poprawić jej humor.

- Prawda! Teraz też byśmy z chęcią pomogły, ale sama widzisz, że wujek kupił tylko jeden pędzel. Także uszy do góry!

Aż się zakrztusiłem, słysząc jej skleconą na spontanie humorystyczną wymówkę.

- Hej, a jak tam sytuacja z chłopakiem? - Zapytała młodą Zuzka żeby zmienić temat i odwrócić uwagę młodej.

- Którym?

- To był więcej niż jeden? Wspominałaś nam o... Brajanie?

- Mhm. - Przytaknęła potwierdzająco Iza.

- Dawno zamknięta sprawa, okazał się dupkiem kompletnym. Dacie wiarę, że umówił się ze mną po lekcjach, a potem „zapomniał”? Wymawiał się, że niby grał w Robloxy z kumplami, ale widziałam go jak szedł z taką jedną dziewczyną z naszej klasy. Za ręce!

- Odbiła ci chłopaka? - Iza przyłożyła dłoń do ust w nazbyt dramatyczny sposób.

- A tam odbiła. Może go sobie wziąć, zasługują na siebie. Za karę usunęłam ją z obserwowanych na Instagramie i odlaikowałam jej fotki.

Zaśmialiśmy się znowu. Trudno powiedzieć czy dlatego, że zemsta Jagody była rzeczywiście tak ironicznie zabawna, czy może zdążyliśmy się już zajebać oparami farby i dostaliśmy głupawki tak po prostu.

- Dzień dobry. - Usłyszałem głos za plecami i w pierwszej chwili pomyślałem, że to Milena, bo skoro jej córka zjawiała się u nas w mieszkaniu, to spodziewałem się, że jej mama również musi być w pobliżu, ale ton się nie zgadzał, zresztą sam sposób powitania również, bo od niedawna byłem z nią na „ty”, dziewczyny tak samo, więc zamiast suchego „dzień dobry” rzuciłaby nam raczej radosnym „cześć” albo czymś podobnym.

Odwrociłem się i zobaczyłem Grażynę mieszkającą centralnie pod nami.

- Dzień dobry? - Odpowiedziałem razem z wtórującym mi chórkim umarellek.

- Malujecie balkon. - Stwierdziła sąsiadka tak, jakby mi to wygarniała.

- No tak... pogoda jest świetna, mam trochę czasu wolnego, pomyślałem, że najwyższa pora nieco go odświeżyć.

- Ale nie pomyślałeś, że twoja farba może kapać w dół, do innych, co?

Wyrzałem przez balustradę żeby zobaczyć, czy przypadkiem jakaś kropelka nie spadła na jej barierki, ale nie zauważyłem żadnych plam. Niemniej zacząłem ją przeproszać i zapewniać, że jeśli coś przypadkiem do niej trafiło, to czym prędzej mogę zbiec i jej to zetrzeć.

- Ja już sama się tym zajęłam. Kropla twojej farby spadła mi na listek pelargonii.

Zonk jak chuj. Zuzka i Jagoda spojrzały po sobie z uchylonymi ustami, próbując się nie roześmiać, a Izę to zupełnie, kurwa, замуrowało.

- Poza tym jesteście głośni i powinniście szanować innych. Ja nie śmieję się na całe gardło u siebie. Tylko tyle chciałam powiedzieć. Do widzenia. - Fuknęła Grażyna i nie dodając ani słowa więcej sobie poszła.
- A tej co? - Zapytała Jagódka po chwili. - Mamy jednych sąsiadów, którzy wezwali kiedyś straż miejską na mnie i koleżanki za to, że zakłócaliśmy im podobno spokój, grając w klasy na podjeździe, ale... łał.
- Ci z szarego domu obok waszego, co? - Prychnął, czując nosem o kogo chodzi.
- No. Skąd wiesz? Mama ci mówiła?
- Nie, kiedyś mnie i wujka Emila złapała policja, gdy do was szliśmy. Wasi sąsiedzi wydzwaniali do nich za każdym razem, gdy dzieci bawiły się na parkingu naprzeciwko. Nienormalni ludzie, mówię ci, mała.
- Nie musisz mi mówić. Omijam ich szerokim łukiem.
- Od tej sąsiadki z dołu też najlepiej trzymaj się na dystans, bo sprowadza zawsze kłopoty.
- Jest jak jeden wielgachny czarny kot. - Zgodziła się ze mną siostra, co było do niej raczej niepodobne, bo bardzo rzadko kiedy mówiła negatywnie o kimkolwiek.
- Tak? - Zaciekawiała się Jagoda. W sumie Zuza też nastawiła uszu.
- Widzicie...

Grażynie poprzestawiało się w już i tak pustym łbie po śmierci męża. Byli jednym z tych naprawdę staromodnie, wsioowo patriarchalnych małżeństw, gdzie mężczyzna zajmował się zarabianiem kasy i niczym więcej, a żona domem i wychowywaniem gówniactwa. Gdy Janusz spadł z rowerka, sytuacja kompletnie ją przerosła, bo nagle okazało się, że nie przepracowała w życiu nawet jednego dnia, nie miała prawka, nie potrafiła korzystać z komputera albo smartfona, a nawet nie wiedziała jak korzystać z rozkładu jazdy autobusów ani jak i gdzie płacić rachunki.

P.S. To prawda. Przyszła kiedyś do nas żeby zapytać się Ewelinę co i jak, bo dzień wcześniej podobno dostała jakiegoś ataku histerii na poczcie, po tym, jak pracowniczka nie potrafiła jej jasno powiedzieć, czy miała opłacony czynsz za mieszkanie za obecny miesiąc.

Inba była jeszcze potężniejsza, gdy sprzątaczką przyszła do niej zrobić kwartalny spis wodomierzy i okazało się, że jego stan nie ruszył się nawet o milimetr od ostatniej kontroli, bo od śmierci Janusza był do niego przyczepiony magnes neodymowy wielkości pomarańczy.

Wiecie, normalnie byłoby to tragiczne i Grażyna zasługiwałaby na współczucie, względne zrozumienie i jakieś tam wsparcie, ale żałoba pogrążyła ją bez reszty w jebanym szaleństwie i w ten też sposób przeistoczyła się w duchową spadkobierczynię Buhaha, inwigilując swoich sąsiadów i rozsiewając za ich plecami niestworzone plotki. Gdy Ewelina z dobrze już znanych powodów ścięła się na krótko, to właśnie Grażyna była jedną z naczelnych okolicznych dewot, które próbowały dojść dlaczego to zrobiła i czy czasem nie postradała zmysłów albo czegoś nie bierze.

Dekadę później, gdy Iza z Zuzą przyjechały w wakacje na rewir i żegnały się na przystanku przed dłuższą rozłąką, bo ta druga jechała na parę tygodni do babci, puściły im emocje, popłakały się i w końcu, o zgrozo, pocałowały! Grażyna, która przypadkiem je widziała, dzień później przyszła do Eweliny naskarżyć, że widziała, jak jej córka całuje się z inną

dziewczyną na przystanku. No ja pierdolę, dorosła kobieta i samodzielna studentka, a ta stara pizda pobiegła do naszej mamy żeby donieść na nią tak, jak co poniektórzy donosili na dwunastolatków uczących się palić pod balkonami. Mama była wtedy bliska wytknięcia tej wścibskiej kurwie tego i owego, ale opanowała się jakoś i wyjaśniła, że to, co i z kim Iza robi, jest tylko i wyłącznie jej osobistą sprawą. Szanuję, bo gdybym to ja wtedy otworzył drzwi, to na bank nie wytrzymałbym i wygarnął jej to, co o niej myślę, na do widzenia każąc się odpierdolić, dolewając tym samym jeszcze więcej oliwy do ognia.

No ale co się odwlecze, to nie uciecze, mnie też zaszła w końcu osobiście za skórę. Gdy wynosiłem koła z piwnicy i zaparkowałem sobie samochód tyłem u wylotu chodnika żeby mieć szybki i bezproblemowy dostęp do bagażnika, dojechała się do mnie, że blokuje wejście na parking i żebym natychmiast odjechał, bo pójdzie do spółdzielni i na mnie doniesie.

Nie zrobiła tego, być może dlatego, że szybko się uwinąłem ze swoim zadaniem, ale innym razem poszła donieść na jedną sąsiadkę, która ponoć w niedzielę, dzień święty, śmiała odkurzać w swoim mieszkaniu. Regularnie łąziła też podpierdalać jedną ze sprzętaczek za to, że gawędzi sobie z ludźmi zamiast bez przerw pracować. Być może w ramach zemsty za aferę z licznikiem. Raz poszła też ze skargą na ekipę, która przyjechała do nas na osiedle przyciąć drzewka, żywopłoty i krzewy, bo podobno przez nich naleciały jej na balkon liście.

Słowem – Grażyna straciła piątą klepkę po śmierci męża i chyba każdy, kto mieszkał przy naszej ulicy, padł kiedyś ofiarą jej wścibstwa, plotek i niesprowokowanego dopierdalania się o najmniejsze możliwe głupoty. W spółdzielni od ponad dekady budziła przestרח jako naczelna persona non grata, ale nikt nie mógł z nią nic zrobić, bo kwestie finansowe przejął jej syn i opłacał w terminie jej rachunki. No bo sama oczywiście nigdy nie nauczyła się żyć w pełni samodzielnie ani nikt nie zagwarantował jej pomocy psychologicznej i psychiatrycznej, której w kurwę potrzebowała.

Pomoc psychologiczną uzyskałem natomiast ja tydzień później, gdy malowaliśmy balkon dziewczyn. Mam tu na myśli oczywiście Izkę, bo nie pozwoliłem się jej wywinąć od roboty. Co może koniec końców też nie było najlepszym pomysłem, bo jak to mówią, gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść. Gdybyśmy pracowali we dwójkę z nią albo Zuzą, poszłoby nam ekspresowo, ale skoro była nas trójka, to ktoś ciągle wchodził na kogoś innego, chlapał farbą i nie wiedział co jest już zrobione, plamiąc się o to, co wciąż się lepiło. Dodajmy do tego jeszcze przyśpiewki Zuzy w rytm puszczonej w tle playlisty, i otrzymamy wizję kompletnego nieproduktywnego chaosu, jaki panował tam tego dnia.

- Aj, całą rękę mam brązową! - Jęknęła Iza, pokazując nam ciemne paski, którymi było jej całe ramię, aż po biceps.

- Wyglądasz, jakbyś się wydziarała, księżniczko! - Zarechotała Zuzka. - Ale ładnie ci tak, wyglądasz... niegrzecznie.

- W tym domu wystarczy nam jedna niegrzeczna dziewczyna. Dwie byłyby tłumem.

- Dwie rozniosłyby cały ten blok w pył. - Prychnąłem. - A potem ja musiałbym malować pozostały po nim gruz.

- No daj spokój, przecież Izuni pasowałby taki image, powiedz, że nie. Tatuż tutaj, kolczyk tam, trochę kredki do oczu i z uroczej alternatywy zrobiłobyś zahartowaną punkowę.
- Nie ma mowy. - Skwitowała ten pomysł siorka, brzmiąc poważniej niż tak naprawdę się czuła. Oboje wiedzieliśmy bowiem doskonale, że Zuzka, jak to Zuzka, po prostu się zgrywała. Uwielbiała droczyć się z innymi, podpuszczać ich i stroić sobie niewinne żarty, a te kierowane do Izy były częściej niż rzadziej nieco ekscentrycznymi formami flirtu.
- Nawet jedna dziarka?
- Nie.
- Oj, no przecież nie proszę o to żebyś zrobiła sobie rękaw albo plecy. Coś małego, jak twoja mama... przynajmniej na początek. - Naciskała dalej, powolutku tracąc kontrolę nad mimowolnie podnoszącymi się jej do góry kącikami ust.
- Nie.
- Nie chciałabyś raz w życiu zaszaleć dla swojej ukochanej, pięknej i jakże nieprzyzwoitej dziewczyny?
- Nie.
- Powiedzieć „pieprzyć to” i zmienić się nie do poznania? Może ufarbować tą ognistą czuprynę na zielono? Pod kolor tych twoich ślicznych oczków?
- Nie.
- Prawidłowa odpowiedź, Izuś. - Odpowiedziała po pauzie, przybierając poważny ton i objęła ją czule. - Nie dajesz się zmanipulować, nie robisz niczego wbrew sobie. Za to cię kocham. Chociaż gdybyś kiedyś chciała się wydziarzać, to wiesz, nie miałabym nic przeciwko.
- Nie ma opcji. Musi ci wystarczyć widok moich poplamionych farbą rąk. Które zresztą mam zamiar zaraz wyszorować do czysta. - Nieco zarumieniona Iza wyrwała się z objęć i weszła do mieszkania żeby doprowadzić się do ładu i przy okazji ukryć przed nami swój niekontrolowany uśmiech.
- Uparciuch z tej twojej siostry, co nie? - Szwagierka szturchnęła mnie lekko w ramię; również zresztą poprzecinane brązowymi pręgami. W ogóle cali byliśmy, kurwa, w farbie; Zuzka miała plamę nawet na czubku nosa.
- Boję się pomyśleć po jakie techniki perswazji byś sięgnęła, gdyby przed tobą nie uciekła. - Zaśmiałem się, dziabiąc ją uchwyttem pędzla w tydkę.
- Uciekła? Przede mną? Ona pobiegła żeby przejrzeć się w lustrze, bo w głębi swojego hipsterskiego serduszka kiełkuje jej myśl, że zajebiście wyglądałaby z odrobiną tuszu pod skórą.
- Ehe, prędzej zobaczę ją z flachą w jednej ręce i ociekającym tłuszczem burgerem w drugiej, niż z tatuażem. Przy przekłuwaniu uszu prawie zemdląta, przy badaniu krwi odleciała zupełnie, a ty myślisz, że dałaby się dobrowolnie kłuć przez parę godzin.
- Ooo, widzisz, o tym mi nigdy nie powiedziała. To może ją kiedyś namówię na kolczyk w tym jej zadartym nosku, skoro dziaranie odpada?
- Powodzenia. A wiesz, co możesz zrobić zanim się za to zabierzesz?
- Co, Miśku?

- Złapać za pędzel i pomóc mi z balustradą.
 - Patrzcie nudziarza. Tylko praca, praca i praca, co? - Burknęła, ale zamoczyła pędzel w puszcze i przewiesiła się przez barierkę żeby pomalować ją od zewnętrznej strony. - No ale mimo wszystko nieźle ją podpuściłam, co?
 - Poprzez „podpuściłam” masz na myśli „poirytowałam”?
 - Jak zwał tak zwał. Kto się czubi ten się lubi.
 - Uważaj, bo jeszcze odlajkuje twoje fotki w sieci jak Jagoda. - Zażartowałem, ale w kwestii przegadywanek słownych Zuza zawsze musiała mieć ostatnie słowo. Uśmiechnęła się tylko do mnie i rzuciła:
 - Oj, mój drogi, te w negliżu są jej zbyt bliskie. Nigdy by ich nie odlajkowała. - Zachichotała, puszczając mi oko.
 - Dzień dobry! - Usłyszałem męski głos za plecami i odwróciłem się. Jakiś gość przed czterdziestką właśnie odgarniał na bok firankę. - Widzę, że remoncik idzie pełną parą! Słyszałem wasze śmiechy i pomyślałem, że wpadnę na moment.
- „Kurwa, kolejny szpieg” – przemknęło mi przez myśl. „Pewnie jak Grażyna zaraz się przypierdoli o to, że jesteście głośni”.

Myliłem się. Sąsiad Izy i Zuzy okazał się dla przeciwwagi bardzo w porządku. Zbiliśmy się łokciami na powitanie, zaimponowało mu to, że odświeżamy balkon samodzielnie (w czym ja osobiście ani nie wiedziałem ani dalej nie widzę niczego nadzwyczajnego, no ale zawsze miło, jak ktoś połechtą wam ego, prawda?), i wyjawiał, że przyszedł do nas w ogóle po to, by zapytać się o nazwę jednego utworu, którego wcześniej słuchaliśmy przy pracy. No myślałem, że pierdolnę jak to usłyszałem.

Dwie dzielnice i jedno pokolenie różnicy, a poczułem się jak w zupełnie innym świecie w porównaniu z Grażyną z naszego rewiru. Tak to jest – świat się zmienia, idzie do przodu. Jak przy Jagodzie poczułem się staro, tak przy sąsiedzie dziewczyn odżyła we mnie jakaś dawno zapomniana isierka nadziei wobec społecznego postępu w Polsce, nieważne jak niewielki by nie był. Gość nie pierdolił o kropelce farby na listku pelargonii, nie czepiał się tego, że śmiejemy się i żartujemy podczas pracy, ani tym bardziej nie traktował nas jak jakichś bandytów; przyszedł po prostu chwilę pogadać, zainteresowany tym, że w bliskiej okolicy działo się coś pozytywnego. Czyli dokładnie odwrotnie do tego, do czego byłem przyzwyczajony przez dewoty, Januszów i patusów, których pamiętałem z dzieciństwa i których ostatnie niedobitki wciąż przemykały między naszymi blokami, szukając zwady nawet z gówniakami bawiącymi się w klasy.

Ależ mi ten gość nieświadomie poprawił wtedy humor. Plus obie balustrady wyszły nam zajełbieście, stanowiąc namacalny dowód mojego wątpliwego statusu artysty, więc tyle wygrać.



Pogrzeb

Nic nie wskazywało, by ten słoneczny majowy dzień miał okazać się w jakikolwiek sposób koszmarny. Siedzieliśmy we troje z Zuzą i Szarą Myszką w biurze, pochłonięci pracą, słuchając sobie przy tym grającej w tle muzyki, gdy tej pierwszej zadzwonił leżący na biurku telefon.

- Cześć, mamó. - Przywitała się sucho i wysłuchiwała paru zdań, jakie przekazała jej rozmówczyni. Nie przeszłoby mi przez myśl podsłuchiwać o czym mówią, ale w powietrzu nagle wyczułem wyraźne napięcie. Coś było bardzo nie tak i gdy Zuza łamiącym głosem pożegnała się z matką, wiedziałem, że mój instynkt mnie nie zawiódł.

Szwagierka bez słowa poszła do swojego biura i zamknęła za sobą drzwi. Myszka i ja wymieniliśmy spojrzenia.

- Idź do niej. - Zasugerowała krótko.

- Jesteś pewna? Przecież zamknęła drzwi, więc chyba nie potrzebuje towarzystwa... - Zająknąłem się, naprawdę nie wiedząc, co powinienem robić. Gdy siostra miała swoje kryzysy, dystansowała się i nie chciała dopuszczać nikogo bliżej, z czego powodu miałem uraz i wolałem dmuchać na zimne.

- Nie tyle nie potrzebuje, co nie chce żeby ktoś ją zobaczył, wiesz, cierpiącą.

- Poradzisz tu sobie sama? Z pracą, klientami?

- Widzisz tu jakichś klientów? - Zapytała retorycznie.

Zapukałem do drzwi i wszedłem po chwili do środka, ani nie doczekawszy się odpowiedzi, ani jej nie oczekując. Zuza siedziała na kanapie przy ścianie, z poduszką przyciśniętą do brzucha i piersi. Jej przydymiony punkowy cień do oczu rozmył się i spływał teraz strużkami po jej bladych policzkach. Nic nie mówiłem, po prostu przysiadłem się obok i objąłem ją ramieniem.

- Zmarła mi babcia. - Zaszlochała po dłuższej chwili, przytulając się mocniej.

Wtedy widziałem ją całkowicie zmasakrowaną psychicznie drugi i ostatni raz, przy czym stan, do którego doprowadzili ją rodzice podczas spotkania ze mną i Ewelina był oczywiście niczym w porównaniu z tym, jak czuła się w tamtym momencie.

Jej babcia, ta, która posiadała podobno jakieś nadnaturalne moce komunikowania się ze zmarłymi, była tak naprawdę jedyną osobą w jej rodzinie, z którą miała wypracowane bliskie relacje i wobec której czuła bezwarunkowy szacunek i miłość. Cała reszta była rodziną bardziej z nazwy, z którymi rozmawiała rzadko albo w radykalnych przypadkach w ogóle.

Do tych drugich należał jej najmłodszy brat, przy którym ich rodzice wydawali się całkiem postępowymi, otwartymi umysłowo osobami. Nazwijmy go więc Bosak, bo był popierdoleńcem jakich mało; podobno należał do jakiejś neofaszystowskiej sekty pokroju Młodzieży Wszechpolskiej czy ONRu, i tak jak jego ojciec za młodu, donosił wszelkim możliwym organom o tym, co kto robi a czego nie, nasyłając nawet policję na studenciaków palących szlugi na przystanku, nie zapominając sfotografować ich jako dowód zbrodni. Jak możecie się

domyślić, bardzo szybko został wykluczony z grupy i do magisterki był zdany sam na siebie, bo absolutnie nikt nie chciał mieć z nim niczego do czynienia. Naturalną kolejną rzeczą uważał, że to cały świat jest jebnięty, a nie on jeden.

Zuza wspominała mi, że kiedyś przypinał na uczelnianych tablicach jakieś ogłoszenia do swojego incelowskiego batalionu, co skończyło się zerwaniem połowy z nich jeszcze tego samego dnia, a potem ktoś wpadł na pomysł wspianiały i wydrukował własne ulotki o prawach kobiet albo homoseksualnych ogłoszeniach matrymonialnych, podając na nich numer telefonu tego jebanego pariasa.

Jeszcze na długo, nim Zuzka wyjawiała komukolwiek w rodzinie, że spotyka się z Izą, Bosak uważał starszą siostrę za zło wcielone i nie przyznawał się do pokrewieństwa z nią. W domu, zanim wyjechała na studia, próbował coś moralizować i pierdolić jej o tym, że pam buk ją ukaże i po wieki wieków będzie się smażyć w piekle, ale ma jeszcze szansę się wypowiadać i obrać nową ścieżkę w życiu. Po tym, jak przedstawiła rodzicom Izę i dowiedział się o ich związku, permanentnie zerwał z siostrą jakiegokolwiek kontakty. Nie żeby wcześniej jakieś mieli, ale od tego momentu odmawiał przebywania z nią nawet nie tyle w jednym pomieszczeniu, co na tej samej posesji, podczas choćby świąt.

Zuzka zareagowała na tę wieść w jedyny sensowny sposób – zaczęła sobie do wszystkich żartować, że jaka szkoda, teraz jedyną kobietą, do której Bosak będzie miał odwagę się odezwać będzie ich matka.

Dostał o to podobno koszmarnego bólu dupy, ale na żarciki siostry nie odpowiedział. Naskarżył na nią tylko rodzicom i kazał im udzielić jej reprimendy, jakby to co mówiła nie była najszczerzą prawdą. Żenujące jak sam skurwysyn.

Czego by jednak nie mówić, w czasach, gdy my pracowaliśmy już w agencji, Bosak znalazł sobie dziewczynę. Znaczący się jego ojciec zeswatał go z równie nawiedzoną lochą jakiegoś swojego znajomego, która jeśli wierzyć opowieściom Zuzki, w podstawówce modliła się na klęczkach na wuefie, by mecz wygrała jej drużyna, a na przerwach żegnała się i bredziła pod nosem jakieś modły, dziękując niebiosom za kanapkę, którą miała właśnie zjeść. Marzeniem jej życia było zostanie zakonnicą, ale jej rodzicom szczęśliwie udało znaleźć się równie wielkiego zjeba, czyli Bosaka, który po paru miesiącach związku, naturalnie nigdy nieskonsumowanego, bo oboje oszczędzali się dla Kurwy Niebieskiej, oświadczył się jej.

Na ślub zaprosił całą rodzinę z wyłączeniem Zuzi. W ramach protestu przyjechania na wesele odmówiła ich babcia, wymawiając się niby problemami zdrowotnymi, ale równolegle zapraszała wnuczkę do siebie, chcąc wreszcie poznać miłość jej życia, którą w snach wychwalał jej stryjek Zajzajer.

Mieliśmy w pracy mały zapierdol z jednym większym zleceniem, więc Zuzka powiedziała babci, że niestety nie da rady, bo czeka ją jeszcze służbowy wyjazd na expo, ale z chęcią przyjedzie przedstawić jej Izę jak sytuacja nieco się ustabilizuje. Nie dalej niż dwa tygodnie później babcia zmarła, a Zuza popadła w czarną rozpacz, nie mogąc wybaczyć sobie tego, że nie zobaczyła się z nią ten jeden, ostatni raz.

Wiedząc, co myśli o związku Zuzy jej rodzina, z początku próbowała wmówić mojej siostrze, że lepiej będzie, jeśli pojedzie na pogrzeb sama, ale ta nie dała się zwieść i powiedziała wprost, że albo są w związku i bezwarunkowo stoją za sobą murem w ciężkich chwilach, albo

nie. Ironia polega na tym, że największa kłótnia tych dwóch wybuchła właśnie z powodu niepewności Izy wobec tego, czy powinny ze sobą być i czy czasem nie jest dla swojej ukochanej kulą u nogi, podczas gdy ta mogłaby znaleźć sobie męża, urodzić mu gówniaka i wieść „normalne” życie. Dostała wtedy taki opierdół od Zuzki, że noc spędziła u nas w mieszkaniu, szlochając to w poduszkę, to ramię Eweliny, rycząc, że właśnie rozjebała swoje szanse na życie z ukochaną i ta jak nic z nią zerwie. Nie zerwała; wszystko szczęśliwie wróciło do normy i dziewczyny się pogodziły, niemniej drugi raz Iza miłości Zuzy nigdy nie podważyła, nie zakwestionowała też ich związku i tego, że obie chcą spędzić ze sobą życie.

Także gdy role się odwróciły i to ona musiała przypomnieć lubej, że są razem na dobre i na złe. Załadowały się więc we dwie do Civiczki i wyruszyły w drogę, spodziewając się chłodnego przyjęcia, ale żadna z nich za nic w świecie nie byłaby w stanie przewidzieć inby, jaka miała się odkurwić na miejscu.

Babcię Zuzy pochowano na cmentarzu w lesie za wsią, w której mieszkała. Dokładnie tam, gdzie grasował duch czarnego kozła. Na ceremonii zjawiała się ponoć większość mieszkańców, no i oczywiście cała obłudna rodzinka chcąc pokazać się z jak najlepszej strony, chociaż za życia z denatką rozmawiali może dwa razy na rok, w dodatku przez telefon, składając jej wymuszone życzenia urodzinowe i świąteczne.

Dziewczyny stanęły z boku, nie chcąc się afiszować, i czekały aż rozpocznie się msza żałobna, czy co to tam się odprawia na pogrzebach. Parę osób podeszło do Zuzy żeby złożyć jej kondolencje, bo nie było szczególną tajemnicą, że była z babcią dosyć blisko, aż tu nagle podbił do niej Bosak.

Nie byłem świadkiem zdarzenia, więc wybaczenie, że nie opiszę wam tego, co konkretnie powiedział siostrze i jej ukochanej, ale możecie się domyślić, że przypierdolił się do nich o to, że śmiały razem przyjechać i pokazywać się publicznie przed księdzem, narażając rodzinę na zgorszenie, i że nawet na pogrzebie nie wstyd im szerzyć swojej bluźnierczej ideologii.

Poprzez słowo „ideologia” rozumiał oczywiście ich orientację seksualną.

Zuzia, bliska płaczu, była gotowa mu bezlitośnie napierdolić. Iza mówiła mi potem, że była napięta jak struna i gdyby w tamtej chwili nie podeszedł do nich sędzia Andrzej Marian Wesołowski, to pogrzeb niechybnie zakończyłby się mordobiciem. Zganił przyciszonym głosem syna za karygodne zachowanie i kazał wypierdalać, jeśli nie potrafi się zachować. Posłuchał, nie przeprosił, jednak dziewczyn. Rzucił jeszcze siostrze na pożegnanie, że to niestosowne przychodzić na taką uroczystość z różowymi kłakami (bo ombre w tymże kolorze było w sumie jej znakiem rozpoznawczym od kiedy się poznaliśmy), i połaż do swojej zdewociałej, wciąż nierozdziewiczzonej świeżo upieczonej żony, która stała przy randomowym grobie z różańcem w ręce, bełkocząc sama do siebie jakieś modły.

Jakkolwiek zaskakujące nie byłoby dla mnie to, że szwagierka nie rzuciła się z pięściami na brata, dużo bardziej zszokowało mnie to, że stanął w jej obronie ojciec, który też przecież nie aprobeował jej związku i z którym miała mocno nadwyrężone kontakty. Przeprosił obie dziewczyny za aryjskiego syna-incela, powiedział córce, że cieszy się, że przyjechała, i w sumie tyle. Nie wdawał się w rozmowę, bo nie byli w na tyle bliskich relacjach by to robić, ale kurwa, coś tu wyraźnie nie było halo, skoro taki hardy katol był w tamtej sytuacji mediatorem i głosem rozsądku.

W agencji mieliśmy lekko, nomen omen, martwy okres, czekając na to, aż podwykonawcy zrobią dla nas jakieś rzeczy niezbędne do poważniejszych zleceń, i tylko Sebek z Szarą Myszka trzaskali jakieś drobne projekty, pokroju przygotowania billboardów do druku albo wykonania zaproszeń na małe eventy, więc mnie przypadło zarządzanie biurem pod nieobecność szwagierki. Miała wziąć sobie tydzień wolnego żeby dojść do siebie, ale zjawiała się niezapowiedziana jakoś po trzech dniach, w towarzystwie właściciela biura.

- Ej, Zuzia, co ty tu robisz? - Zapytałem, dając się jej przytulić.

- Nie mogłam usiedzieć w domu. - Przyznała, ani trochę mnie nie zaskakując. - Pomyślałam, że zrobię sobie portret babci na ręce.

- Mówiłaś Izce?

- No. Normalnie mi moralizuje żebym dwa razy zastanawiała się nad każdą decyzją, no i wiesz co? Ma rację, skubana, ale wczoraj nie próbowała mi wytłumaczyć, że ten pomysł jest zły, więc uznałam to za cichą aprobatę.

Zaszyli się więc we dwoje w jej biurze na parę godzin, urządzając sobie na biurku studio tatuażu, podczas gdy ja z Myszka i Sebkim bezstresowo pracowaliśmy.

Zuzka miała na prawym ramieniu parę różnych dziarek, które zgromadziła na przestrzeni lat. Biceps zdobił jej Pączuch, na tricepsie i wewnętrznej części ramienia sześć czy siedem przeróżnych mniejszych, od agrałki, przez pacyfkę po kwiatki nieznanego mi gatunku. Portret babci z czasów, gdy była młoda, trafił na jej mięsień naramienny, uśmiechając się delikatnie do każdego, kto na niego spojrzał. W chuj profesjonalna robota, naprawdę byłem w szoku, jak realistycznie wyszedł, nawet Szara Myszka była pod wrażeniem, a przy jej obsesyjnej dbałości o detale naprawdę ciężko było jej czymkolwiek zaimponować.

Później Zuzka miała jeszcze uzupełnić przestrzenie między wszystkimi tatuażami na ramieniu jakąś mgiełką, liśćmi, kwiatkami i tym podobnymi, łącząc całość w jeden spójny krótki atramentowy rękawek. To już było ładny miesiąc po pierwszej sesji, gdy zdążyła wrócić już do siebie i odzyskać typową dla siebie energię i optymizm. Działała się znowu w swoim biurze, robiąc przerwy za każdym razem, gdy dzwonili do nich klienci, rozmawiając z nimi w staniku i z ociekającą tuszem ręką.

Jak zobaczyłem ją dyskutującą z jednym gościem na temat szczegółów umowy i gramatury papieru, na którym coś miało zostać wydrukowane, to musiałem czym prędzej wyjść z pomieszczenia, bo nie mogłem opanować histerycznego śmiechu.

Po godzinach do biura przyjechała Iza, żeby odebrać swoją lubą, która właśnie kończyła się tatuować. Wypiliśmy we dwoje po herbatce, gawędząc o tym i owym, Zuza wyszła z biura, przeciągając się, i zaraz potem wskoczyła Izce na kolana, dając czułego buziaka na powitanie.

- Podoba ci się? - Zapytała, odwracając oklejone przezroczystą taśmą ramię.

- Bardzo ładnie wyszło. Cieszę się twoim szczęściem. - Przyznała.

- A chcesz zobaczyć coś naprawdę fajnego?

- Boję się zgadywać co możesz mieć na myśli.

- Zobacz. Tutaj... - Wskazała palcem literkę „i” z serduszkami zamiast kropki, zaraz obok portretu babci. - Chyba nie muszę ci wyjaśniać, co oznacza, co, księżniczko?

- Niech zgadnę... raczej nie „idiotkę”.

- Nie, na pewno nie.

- Zatem może „imbryk”?

Zuzka zarechotała.

- Nie, prędzej dzbana. Ale takiego, wiesz, zabytkowego, bezcennego.

Izka zachichotała do pary, rumieniąc się przy tym.

- Zuzia, czy ty próbujesz mi schlebiać, porównując mnie do dzbana?

- No. - Wzruszyła ramionami. - Ale serio, co myślisz?

- Myślę, że głuptas z ciebie, i nie mogłabym kochać cię bardziej. Jestem w szoku, ale... rozczuliłaś mnie tym gestem.

- Hmm... to skoro podoba ci się twój inicjał na mojej łapce, to może ty zrobisz sobie mój? - Zuzka zaczęła się zgrywać tak, jak wtedy, gdy malowaliśmy ich balkon.

- Nie masz co na to liczyć, kochana.

- Oj, no daj spokój, to tylko mała literka. Może na stópce?

- Przerabialiśmy już to. Nie dam się wytatuować.

- A zakolczykować? Obiecuję, że nie wydziaram cię na szybko, gdy zemdlejesz.

Izka ściągnęła brwi i spojrzała na mnie z wyrzutem.

- Wygadałeś się.

- No wiesz... być może gdzieś kiedyś palnąłem coś między wierszami...

- Wiesz co, braciszku? Może w takim razie w ramach kary wydziaramy ciebie?

Zuzka wciągnęła powietrze.

- Twój inicjał na jednej ręce, mój na drugiej? - Zaproponowała Izka.

- Brzmi fair.

- Hehe... bardzo kusząca propozycja, ale jestem spóźniony, czekają na mnie, także papatki, ja muszę uciekać! - Chwyciłem marynarkę i uciekłem stamtąd, potykając się o własne nogi, żegnany ich śmiechami i zapewnieniami, że jeszcze mnie dorwą.



Hotel

Klientów mieliśmy różnych – dużych, małych, ogarniętych i kompletnie niezorientowanych w tym co i jak chcieli osiągnąć. Każdy projekt, każda realizacja, każda umowa była inna i wymagała dopasowania się doń z naszej strony, przez co czasem naprawdę musieliśmy stawiać na głowie żeby je wykonać. Wiadomo, każdy z nas miał swoje życie prywatne, Sebek nie zawsze był dyspozycyjny przez problemy z ręką, a Szara Myszka... oj, ona

miała z nas wszystkich najbardziej przejebaną sytuację i każde odstępstwo od odgórnie ustalonego harmonogramu było dla niej sporym problemem.

Zacznijmy od tego, że była samotną matką, co samo w sobie jest przejebane. Dodajmy do tego jej problemy psychiczne, które mogłyby zagrozić odebraniem jej praw rodzicielskich, gdyby syna wychowywała bez pomocy dziadków. Mieli podobno plan, że w najgorszej sytuacji oni przejmą prawa do opieki nad nim, byle tylko nie został wysłany do swojego ojca, który był zupełnym patusem.

Ogarnijcie to – typ miał Myszcze płacić alimenty z oczywistych powodów, ale formalnie był bezrobotny i mieszkał z rodzicami na jakichś emeryturach bądź rencinach. Tak naprawdę to robił na czarno, ale Myszka nie powiedziała tego urzędasom, bo... właściwie to nie wiem dlaczego. Może on miał na nią jakiegoś haka w związku z jej zdrowiem psychicznym, a może nie chciała żeby skurwiel później manipulował jej dzieciakiem, wmawiając mu, że jego mama jest zła i chce go zniszczyć. Bez względu na powód, stanęło na tym, że w sprawę został zaangażowany komornik, który zrobił skurwielowi wjazd na chatę, a ten powiedział że nie ma z czego na dzieciaka płacić, no bo przecież nie pracuje. Komornik zapoznał się z sytuacją finansową jego rodziców-emerytów i udało mu się przymusić ich do płacenia pięciu dych miesięcznie na wnusia, przy czym oczywiście za każdym razem pobierać miał sobie prowizję, więc Myszka otrzymywała na syna wsparcie w wysokości piętnastu polskich złotych w skali miesiąca.

Wiedząc w jakiej sytuacji jest, Zuza starała się zapewnić jej w miarę komfortowe warunki pracy, nigdy na przykład nie każąc jej kontaktować się z klientami, podwykonawcami czy kimkolwiek innym. Do Myszki należało nakurwianie w Photoshopicie czegokolwiek, co było w danej chwili potrzebne i tylko raz chcąc nie chcąc została wciągnięta w bezpośrednią rozmowę z jednym z naszych klientów, podczas której zrobiło jej się słabo, gdy coś do niej powiedział i szefowa, widząc, że ta ma atak paniki, zgrabnie pomogła jej się ewakuować i zachować przy tym twarz, prosząc o zrobienie wszystkim kawki czy herbatki. Myszka przyniosła nam te napoje i wróciła do kuchni, gdzie przesiedziała w pozycji żółwik resztę spotkania.

Ja dla odmiany bardzo tego klienta lubiłem. Gość był dokładnym przeciwieństwem Bonusa od festiwalowych plakatów. Zamiast wieśtuningowym Fiatem Bravo, przyjechał do nas Mustangiem, zamiast dresów miał dobrze skrojony garnitur, a zamiast ogolonego łba z jakimiś strupami, elegancki fryz z nitkami siwizny dodającymi mu powagi. Był świeżo upieczonym prezesem hotelu i chciał odświeżyć mocno zalatujący już stęchlizną image całego przybytku, a do tego celu potrzebował specjalistów, czyli nas. Jak na nas trafił? Nie wiem. Dla odmiany znajomym Zuzy nie był, przynajmniej aż do momentu, w którym nie wykonaliśmy jego zamówienia.

To była nasza największa realizacja, bijąca na głowę nawet tą muzealną i wymagającą koordynacji z przeróżnymi innymi wykonawcami, od budowlanców po ogrodników. Zaczęło się prosto, od wykonania nowego logotypu i księgi znaku – te musiały powstać najwcześniej, by można było w oparciu o nie wyremontować budynek.

Niedługo potem przyszła kolej na stronkę internetową, którą wspominam jako jeden z najfajniejszych projektów, przy których w ogóle kiedykolwiek pracowałem. Zaczęło się od Myszki, która zapoznawszy się z architekturą hotelu, naszkicowała mi pierwszy luźny projekt, przy czym kiedy mówię „naszkicowała”, mam na myśli rysunek techniczny z idealnymi kątami

pasującymi na przykład do nachylenia dachu, z utrzymanymi proporcjami wyliczonymi zarówno w pikselach jak i procentach, oraz propozycjami kolorów dla poszczególnych elementów. Mnie przypadło później odtworzenie tego wszystkiego w wersji cyfrowej, przy czym oczywiście w idealne wyliczenia się nie bawiłem, tylko jebnąłem jakieś elementy po skosie tak, by ładnie wyglądały, a nie były matematycznie perfekcyjne jak w jej planie. A najlepsze, jak pokazałem jej efekt finalny, ta spojrzała, pochwaliła i zapytała, wskazując jeden element górnej belki:

- Ten kąt jest zgodny z moim szkicem? Bo wygląda, jakby był nieco inaczej nachylony.

- Nie no, coś ty, Myszko, wyliczyłem specjalnie sinus w oparciu o wysokość tego elementu!

Myszka nie wyczuła sarkazmu, tylko znowu pokiwała głową, wzięła mi myszkę, zaznaczyła ten fragment żeby zobaczyć ile pikseli ma w pionie i poziomie, po czym poszła do swojego biurka żeby wszystko dokładnie wyliczyć. Jebana po pięciu minutach wróciła żeby powiedzieć mi, że jebnąłem się o trzy piksele.

- Może to wina autoprzyciągania w Photoshopie? - Zasugerowałem.

- Może, mnie też ta opcja nieraz doprowadza do szału, raz nawet nie mogłam przez nią spać!

W całym tym projekcie stronki zajebiste było to, że żonglowaliśmy nim sobie. A to ja coś w nim zrobiłem, a to Myszka poprawiła, a to Seba rozbudował. Za każdym razem, jak trafiał do mnie jej plik .psd, czułem się jakbym otwierał gwiazdkowy prezent, nie wiedząc czego się spodziewać. Uczucie w dechę, nie żartuję. Każdy z was, kto otarł się o sztukę wszelakiego rodzaju, od grafiki po pastopisarstwo, pewnie zgodzi się ze mną, że pięknym jest widzieć, jak wasz projekt się rozwija i żyje własnym życiem.

Gdy mieliśmy już gotową szatę graficzną, posłaliśmy wszystko do Ziemka, który nam ją zaprogramował i dodał jakieś animowane pokazy slajdów z fotkami pokoi i parku wokoło hotelu.

W dalszej kolejności przyszło nam zająć siężywieniem społecznościówek, drukowaniem jakichś ulotek i książeczek dla gości z opisaną historią obiektu, zrobieniem drobnostek typu zawieszki na drzwi, kart dań, długopisów, notesików, breloczków do kluczy i kto wie czego jeszcze. Część z tego wszystkiego zawieźliśmy potem z Zuzą na miejsce naszymi potężnymi dostawczakami wprost stworzonymi do tego celu, czyli trzydrzwiowymi hot hatchami.

Hotel był jeszcze w fazie remontu, tak w środku jak i na zewnątrz, i aż dziwnie się poczułem, widząc jak przed budynkiem sadzone są rabatki pasujące kolorem i ułożeniem do logotypu zrobionego przez Myszkę. Oglądanie „własnych” billboardów to jedno, ale nigdy nie udało mi się przywyknąć do miejsc stworzonych konkretnie z myślą o wyższych klasach albo przynajmniej biedakach pragnących zaznać w życiu trochę luksusu i zaciągających na ten cel kilkuletnie kredyty. Jest w nich coś... sam nie wiem, ale na swój sposób krępującego. Jakby budynek sam z siebie patrzył na was z góry, przytłaczał was swoim blichtrzem i przepychem. Wielu to lubi, ale ja czułem się tam trochę nie na miejscu, jakbym przybył z zupełnie innego świata.

Przyszła prezes od Mustanga, zaproponował nam po kawce w dopiero co odnowionej restauracyjce. Pomyślałem sobie, że może dobrze mi to zrobi i że cicha kafejka będzie miłą zmianą scenerii.

A takiego, kurwa! Zaprowadził nas do pomieszczenia wielkości sali gimnastycznej z mojej gimnastyki, otwartego z trzech stron na park, jakiś kurwa labirynt z żywopłotów, basen i boiska do tenisa czy tam siatkówki. Przy takich widokach wypiliśmy sobie po cappuccino, dogrywając jakieś punkty umowy, a we mnie utwierdzało się przekonanie, że jestem w niewłaściwym miejscu. Tutaj burzliwy prezes, tutaj dynamiczna szefowa, a tutaj anon.

- Hej, Misiek, wszystko gra? - Wyrwała mnie z rozmyślań Zuza, gdy klient odszedł na chwilę od stolika.

- Taa... chyba podróż mnie nieco zmęczyła.

- Pieprzysz. Znam tę minę, wyglądasz żywcem jak swoją siostra. Co jest?

- Sam nie wiem... co myślisz o... tym wszystkim? - Zapytałam ją, rozkładając ręce i rozglądając się po całej restauracji.

- Lokal w pytel. Obiecałam sobie, że wykupię tu romantyczny weekend dla dwojga. Ale nie to chciałeś usłyszeć, co? - Pokręciła noskiem i spojrzała mi w oczy. - No, wyrzuć to z siebie, powiedz co ci na serduchu leży.

- Czuję się jakbym... nie wiem... był nie na miejscu. Jakby cały ten hotel mnie przytłaczał.

- Kompleks oszusta.

- A ty co? Mamy drugą psycholog w rodzinie?

- No wiesz, kto z kim przestaje, takim się staje. Poza tym hej, spójrz. - Wskazała mi kartę dań leżącą między nami.

- Co?

- To twój projekt. Ty go wykonałeś, nawet ogarnąłeś uszlachetnienia.

- Według stylu, który wymyśliła Szara Myszka.

- Och, proszę cię. Nikt za ciebie niczego nie zrobił, wszystko przygotowałeś sam. To więcej, niż można powiedzieć o Sebkę, który co drugi projekt kalkuje z Freepika! A jakoś nie słyszę, żeby on narzekał na brak pewności siebie. Uszy do góry, bez ciebie nie udałoby nam się nic zrobić.

Coś tam mruknąłem, na co ona bez jebania o to, czy prezes nas zobaczy, zbliżyła się i uściśliła mnie czule.

- Wierzę w ciebie i kiedy mówię, że wypracowałeś sobie swoją pozycję, to lepiej uwierz, że mówię serio. No słowo daję, jesteście z siorką jak dwie krople wody czasami, tak samo trzeba do was podchodzić. Tylko na pocieszający seks nie licz, to akurat opcja all inclusive tylko dla niej.

Powiem wam, że sama rozmowa wystarczyła, żebym poczuł się trochę lepiej i nabrał jakiejś pewności siebie. Podczas późniejszej dyskusji Zuza celowo pytała mnie kilka razy o jakieś nieznaczące rady albo detale dotyczące realizacji, pewnikiem żebym zrozumiał, że jestem jej potrzebny.

Jako bonus za udaną współpracę, prezes hotelu obiecał nam pod ładą sporą zniżkę, gdybyśmy kiedyś chcieli skorzystać z jego oferty. Ja oczywiście nie miałem takich planów, bo umysł anona zawsze będzie anonowy, ale Zuzka skorzystała z okazji i zarezerwowała dla siebie i

mojej siorki romantyczny weekendowy pakiet z okazji ich rocznicy, a po przemyśleniu sprawy zrzuciły się jeszcze na trzecie miejsce dla naszej mamy jako prezent urodzinowy.

Pojechały tam we trzy, bardzo sobie potem chwaliły ten wypad. Ale najlepsze, jak jechały w pierwszą stronę i odpaliło im się w samochodzie Private Idaho. To, że zbiegiem okoliczności stanowi dobrą analogię wobec mojego kompleksu to jedno, ale nie o to tutaj się rozchodzi. Zuza, jak wiecie, zawsze kipiała energią, więc jak słuchała czegoś, to często lubiła sobie to śpiewać i przy okazji zachęcać innych obecnych do śpiewania z nią. Moja siorka introwertyczka mocno, więc wcale się do tego nie paliła, mimo że to ona odpowiadała za tę składankę, mama tylko wesoło kiwała głową na boki, a Zuzka co chwila:

- Your own private Idaho! No dalej, dziewczyny! Your own private Idaho! Dajecie!

Nadeszła w końcu solówka, Zuza na moment ucichła, ale była to cisza przed burzą, bo kto zna ten utwór, to doskonale wie, że po niej następuje przezajebista harmonia wokalna Kate Pierson i Cindy Wilson. W momencie, gdy wokalistki zaczęły swój syreni śpiew, Zuza znowu się aktywowała:

- No, księżniczko, to chociaż ty! Zaśpiewajmy razem! Aaa-aaa-aaa-aaa! Zsynchronizujmy się jak to robimy po nocach!

Podobno najgłośniej z tego komentarza śmiała się wtedy nasza mama.



Weekend w górach

Dziewczyny nie od razu znalazły sobie wymarzone mieszkanie. Podejmowały kilka nieśmiałych prób, szukając jakiegoś lokum w pobliżu swojej alma mater, i początkowo trafiły na patologiczne osiedle dziesięciopiętrowców, przy którym to na rewirze prezentowało się całkiem cywilizowanie. Iza zdążyła obronić już dawno magisterkę, ale póki co nie udało jej się załapać do żadnej pracy w zawodzie, więc była pełnoetatową baristą w kafejce, w której poznały się z Zuzą. Spierdoliły z osiedla czym prędzej, po najwyższej kwartale, gdy moja siorka załapała się wreszcie na praktyki w przychodni w naszym rodzinnym mieście, i przy okazji pod ich ówczesnym blokiem pojawiły się jakieś plakaty „strefa wolna od LGBT”. Może to efekt reflektora, a może ktoś rzeczywiście coś do nich miał, ale bez względu na to, co było na rzeczy, przeniosły się do nowej lokacji o może dziesięć minut drogi od rewiru, co dało nam szansę na regularne spędzanie razem każdej możliwej wolnej chwili, o ile tego chcieliśmy. W czasach, gdy pracowaliśmy w agencji, na przykład, z Zuzą widywałem się średnio sześć razy w tygodniu – od poniedziałku do piątku w pracy i w niedzielę na maminy obiadki. Czasem częściej, gdy wyskakiwaliśmy do kina albo gdzieś indziej. Weźmy na przykład spontaniczną weekendową inbę, jaka odkurwiła się z jej inicjatywy.

Była sobota, godzina szósta rano, jeśli nie wcześniej. Wciąż słodko śpiąca Iza poczuła, że Zuzka ją szturcha i próbuje wybudzić, pytając przyciszonym głosem czy już wstała.

- Teraz już wstałam... dzięki za pobudkę... która godzina?

- Koło szóstej. Słuchaj, piękna, może pojedziemy do parku linowego? Kolega bardzo sobie chwalił, był w zeszłym miesiącu i tak pomyślałam, że mogłybyśmy się tam wybrać.

- Park linowy? Rany, no... Zuzia, żartujesz?

- A co? Masz jakieś plany na weekend?

Nie mogła powiedzieć by miała, jak to przystało na nieśmiałą introwertyczkę, która wolne dni wolą spędzać w domowym zaciszu, z książką albo pilotem w ręce.

- Będzie fajnie, zobaczysz! No proszę, proszę, proszę, proszę, proszę...

- Miałam zajęcia z szantażów emocjonalnych, wiem doskonale jak działają, wiesz?

- Hej, ja cię wcale nie szantażuję emocjonalnie. Po prostu pytam, czy chciałabyś pojechać na romantyczną wycieczkę w najbardziej doborowym towarzystwie na świecie.

- Co jest romantycznego w parku linowym?

- Ty ubrana w szorty, złana potem tak, że widać ci pod mokrą bluzką stanik. Bardziej romantycznego widoku sobie w tej chwili nie wyobrażam. No chyba że go nie założysz, wtedy to wiadomo, inna liga.

Dziesięć minut później i kilka kilometrów dalej Zuza wybudziła drugie z rodzeństwa. Na ślepo odnalazłem dzwoniący telefon ręką i odebrałem go.

- Halo? Zuza? - Wymamrotałem.

- Heja, Miśku. Jedziesz z nami do parku linowego?

- W roli przywoitki?

- No trochę to tak, ale obiecuję, że będzie fajnie. Jak chcesz, to obdzwońię jeszcze paru naszych wspólnych przyjaciół, co?

- Powodzenia. Jeśli naszą dwójkę ledwo co obudziłaś o tej porze, to krzyżyk na drogę z budzeniem innych.

Zuzka mimo to spróbowała, ale nikogo poza mną nie udało jej się zwerbować. No w sumie to do nikogo nie udało jej się nawet dodzwonić, zaczniemy od tego.

Minął kwadrans, dziewczyny podjechały pod blok, załadowałam się do ich Civiczki z butelką herbatki i jakimiś kanapkami, no i w drogę. Wyjechaliśmy z dzielnicy, Zuzka skręciła na trasę i tak spokojnie parliśmy przed siebie przez ładne pół godziny, gdy nagle moja siostra, chyba wreszcie obudziwszy się na tyle, by zacząć logicznie myśleć, zapytała ją o najbardziej oczywistą rzecz:

- Hej, Zuziak, gdzie jest w ogóle ten park linowy?

- W Zakopanem. - Odparła beztrosko.

Kurwa mać, odpowiedź bardziej losowa od solówki na saksie u Rivers of Nihil, bo Zakopane było chyba pół dnia drogi od naszej aktualnej pozycji.

Izka od razu wpadła w bardzo rzadką dla siebie wściekłość, kazała dziewczynie natychmiast zjechać na jakiś parking albo lepiej w ogóle zawrócić.

Przystanęliśmy koło jakiejś stacji, kłótnia jak skurwysyn, aż mi wróciły wspomnienia z dzieciństwa i tego, co działo się między naszymi rodzicami, słysząc te dwie.

- Chcesz kilka godzin jechać do jakiegoś parku?!

- No. Podobno fajnie tam jest, no nie rozumiem czemu się wściekasz, skarbuś...

- Dlaczego nam nie powiedziałaś, że chcesz tak daleko jechać?!

- Nie pytaście!

Siostra złapała się za głowę, ja nie wiedziałem czy śmiać się czy płakać, ale jedno, czego byłem pewien, to tego, by się nie odzywać i czasem wpierdalać między kieliszek a zakąskę, bo jeszcze oberwałbym obustronnym rykoszetem.

Do Zuzy chyba dotarło, że przesadziła, ponieważ spuściła z tonu i przepraszająco powiedziała po chwili niezręcznej ciszy:

- Nie złościć się... co z tego, że jest daleko? Rodzinny wypad to rodzinny wypad? Może trochę dłużej posiedzimy w samochodzie, ale to chyba drobiazg, co nie? Przed obiadem będziemy na miejscu.

Zdziwiłem się, bo oczekiwałem po niej, że będzie dalej się przegadywać, a tu proszę. Sukces stabilnego i udanego związku to współpraca, kompromisy i zrozumienie drugiej połówki, która nawiasem mówiąc też była wielce zaskoczona jej reakcją.

Pogadaliśmy na spokojnie kilka minut, popijając herbatkę, i doszliśmy do wniosku, że skoro już jesteśmy w drodze i żadne z nas nie ma innych planów na weekend, to równie dobrze możemy jechać do tego jebanego Zakopanego, czemu nie?

Zuzka miała rację – na miejsce dotarliśmy w okolicach południa, a pewnie moglibyśmy wcześniej, gdybyśmy tylko nie musieli robić sobie przerw żebyśmy z siorką złapali oddech i ogarnęli chorobę lokomocyjną. Oboje dostawaliśmy jej tylko jako pasażerowie i tylko wtedy, gdy kierowcą był wariat. Civiczka dziewczyn koło V-Techa nawet nie stała, co nie przeszkadzało Zuzce traktować ją jakby miała go pod maską, pijąc ją jak na rajdzie, więc sama podróż była dla naszej dwójki bardziej emocjonująca niż cokolwiek, co zobaczyliśmy w parku linowym. Co nie zmienia faktu, że spędziliśmy tam bardzo miło dzień, do tego stopnia, że zapomnieliśmy pilnować godziny i gdy wróciliśmy na parking, dochodziła ósma, więc przy naszym tempie wrócilibyśmy do domu o drugiej nad ranem.

- Mam pomysł. - Rzuciła Zuza. - Wynajmijmy sobie jakiś domek na noc.

- Zuzia, żartujesz? Przecież nie mamy nawet ubrań na zmianę.

- No i co z tego? No to kupmy jakieś. Wielki problem. Sklepy są jeszcze otwarte.

- Mówisz poważnie?

- Śmiertelnie. No nie dajcie się prosić. Macie do wyboru albo to albo kilka godzin jazdy po ciemku i gdy wrócimy, to stuknie prawie doba odkąd którekolwiek z nas zmrużyło oko. To co?

Siorka nie odpowiedziała, tylko wzięła mnie za rękę na stronę.

- Proszę, przemów jej do rozsądku, bo ja już nie mogę. Albo przynajmniej stań po mojej stronie i razem powiedzmy zdecydowanie, że wracamy.

- Hej, spokojnie. Też mi się ten spontan nie podoba, ale nie widzi mi się jazda po nocy. Jesteśmy wszyscy wymęczeni, głodni...

- Czyli co?

Spojrzałem na opartą o samochód Zuzkę, która puściła mi zawadiacko oko i buziaka w duecie.

- Nie wiem. Może faktycznie kimnijmy się w jakimś hotelu albo domku? Marne z nas dwojga nocne sowy. Wrócimy jutro po południu, może wcześniej poziedzamy Krupówki, skoro już jesteśmy w okolicy.

Siorka stuknęła mnie palcem wskazującym w pierś, przygryzając przy tym dolną wargę w wyrazie mocnej frustracji.

- Zdrajca. - Fuknęła rozjuszona.

Wpadliśmy do jakiegoś pierwszego lepszego marketu żeby kupić szczoteczki, szampon i cottony na zmianę, Zuza sprawiła sobie jeszcze koszulkę z wielkim napisem „I Love Zakopane”. Siorka wygooglowała jakiś relatywnie tani kemping paręnaście kilometrów za miastem, gdzie zawitaliśmy już po zmroku i wynajęliśmy sobie jeden z tych uroczych drewnianych trójkątnych domków wyglądających jak kawałek sera albo tortu. Właściciel był nawet na tyle miły, że pożyczył nam grilla, bo zobaczył, że przyjechali idioci miastowi z bagażem podręcznym w postaci jednej reklamóweczki z Biedry.

Na kolację zjedliśmy sobie szaszłyki z tymi słynnymi oscypkami i... kurwa, powiem wam, że nie czułem się tak szczęśliwie i lekko chyba od lat. Wokoło nieprzenikniona czerń, pomijając jarzące się węgielki, kompletna cisza pomijając nasze śmiechy i bzyczenie komarów, zero zmartwień, zero nerwów, po prostu nas troje poza czasem i przestrzenią.

Posiedzieliśmy tak do późnego wieczora, póki chłód nie zaczął dawać nam się delikatnie we znaki, bo oczywiście mieliśmy luźne sportowe ubrania i nic więcej.

Dziewczyny zaklepały sobie sypialnię na górze, ponieważ zgodnie z argumentacją Zuzy było tam romantycznie, a ja, głupi, nie wyczułem pisma nosem i potem do drugiej w nocy musiałem wystuchiwać skrzypienia desek nad głową. Nie wiem, co nastąpiło jako pierwsze – czy ja usnąłem, czy skrzypienie ustało. Naprawdę nie wiem.

Rano przysiedliśmy do stolika turystycznego we trójkę, wszyscy niewyspani, rozczochrani, ale skłamałbym, gdybym powiedział, że w złych humorach. Jakkolwiek randomowo spontaniczny cały wyjazd by nie był, okazał się całkiem w dechę.

- I co? Nie mówiłam, że będzie fajnie? - Zagadała nas Zuza, jakby czytając mi w myślach.

Zgodziłem się z nią bez namysłu.

- No. - Odparła lakonicznie moja siorka, uśmiechając się delikatnie, pewnie na myśl o dogłębnej nocnej rewaluacji wszystkich „za” i „przeciw” wyjazdu, jaką przeprowadzała z Zuzką. - Kocham was, wariaci.



Marioli się we łbie pierdoli

Przyszła do nas pewnego dnia poważna businesskaryna, z gatunku tych ordynarnie umalowanych, z dwucalowymi tipsami i cuchnących szlugami. Okazało się, że była właścicielką pobliskiego salonu piękności „u Marioli”, czyli spartańsko urządzonego zakładu fryzjerskiego ze stolikiem kawowym, przy którym inna locha robiła klientkom pazury.

Zaprosiłem ją do biurka na boku, wcześniej otwierając szerzej okno, bo jebało od niej jak z popielniczki na dworcu, wyciągnąłem zeszyt i zapytałem co możemy dla niej zrobić.

- No ten, to ja chcę żebyście mi odmienili salon, ale tak całkowicie, żeby modny był, c'nie? Naklejki w oknach i szyld, wszystko w jednym stylu, nowe meble i malowanie...

- Przykro mi, ale nie prowadzimy usług remontowych.

- Czyli że co? Naklejek na okna nie zrobicie?

- Och, nie, nie zrozumieliśmy się. Z naklejkami i szyldami nie będzie najmniejszego problemu, ale nie zajmujemy się malowaniem czy dekorowaniem wnętrz. Możemy pomóc pani rozejrzeć się na rynku za wyspecjalizowanymi fachowcami, o ile nie skontaktowała się jeszcze pani z żadnymi.

- Aha... to byłoby fajnie. Bo mi się marzy taki salon z prawdziwego zdarzenia, profesjonalny.

- Jesteśmy tu, by pomóc przybliżyć panią do tego celu! - Odpowiedziałem wesoło, umierając w środku.

- To ten. Czyli... szyld, naklejki na okna, ooo, ulotki by się też przydały. Wizytówki też. I może jakiś album na zdjęcia żeby klientki mogły wybierać sobie fryzury z niego.

- Okej, żaden problem, już notuję. Coś jeszcze?

- To... może te, zdjęcia na Fejsbuka żeby pasowały do szyldy i naklejek? I logo tri-di na ścianę. Ooo, a jeszcze te, koszulki z firmowym znacznikiem dla wszystkich pracowniczek! No i chyba tyle, chyba że coś jeszcze wymyślę. Ile by to wszystko kosztowało?

- W tej chwili nie jestem w stanie stwierdzić. Musielibyśmy skonsultować się z drukarnią, wcześniej zdobyć dokładne wymiary okien i szyldów. Skonsultować z wytwórcami w cenach logotypów przestrzennych w zależności od materiału.

- No ja chcę taki ładny. Żeby widać było że to ekskluzywny salon. Czyli ile to będzie?

- Mówiłem, że nie wiem, proszę pani. Dokonamy dokładnej wyceny, gdy tylko zdobędziemy wszystkie niezbędne informacje. - Powiedziałem, już powoli tracąc cierpliwość.

- No to przecież panu powiedziałam, że ekskluzywny chcę ten znak. To jakaś filozofia jest żeby go zrobić? Aha, i jeszcze zaproszenia na otwarcie druknijcie, roześle się statym klientkom albo powrzuca do skrzynek na osiedlu. I baloniki też!

Oszczędzę wam dalszej części dyskusji, ponieważ jej meritum i ton już dobrze znacie. Karynisko po parunastu minutach powtarzaniu tego samego w końcu skończyło, pożegnałem się z nim grzecznie i odetchnąłem z ulgą.

- Hej, Myszka... - Zagaiłem.

- Co jest?

- Mogłabyś psiknąć tu swoimi perfumami? Bo cuchnie szlugami tak, że głowę chce mi urwać.

Dzień później wysłałem Karynie bardzo wstępną wycenę żeby mogła sobie mniej więcej oszacować koszt. Z listy może kilkunastu rzeczy ostał się jeden szyld, dwie folie okienne i logotyp ze styroduru. No i logo w formie cyfrowej na społecznościówki, ale to akurat gratis z naszej strony był.

Finansowanie standardowe, czyli 50:50, co Karynie bardzo się nie spodobało, bo przecież ona nie miała zamiaru kupować kota w worku. Musiałem jej jak dziecku wytłumaczyć, że bierzemy odpowiedzialność za realizację zamówienia i wszystko, co dostanie do rąk, będzie zgodne z umową, którą sama podpisze, a jeśli z naszej strony pojawi się jakieś niedomówienie albo niezgodność z obiecaną usługą, to prawo byłoby po jej stronie. To ją jakoś przekonało, więc dała nam zielone światło i przystąpiliśmy do pracy.

Elegancki szyld z dumnym napisem „u Marioli” nie stanowił problemu, projekt logotypu z bogato zdobioną literą „M” również – oba trzasnęliśmy w jedno popołudnie i wysłaliśmy do druku. Kłopoty zaczęły się, gdy Myszka otworzyła fotkę dostarczoną przez Karynę, która miała znaleźć się na okiennej okleinie. Miała może 1000 pikseli w pionie, czyli jedną siedemnastą tego, ile powinna niby mieć, i do tego była cała zaszumiona. Nie było opcji żebyśmy ją wykorzystali, więc złapałem za telefon żeby zapytać się Karynę, czy ma coś lepszej jakości albo czy moglibyśmy poszukać jakiegoś zdjęcia w odpowiedniej jakości w sieci, w bibliotece Adobe czy coś.

- Nie. To zdjęcie mojej siostry i ja je chcę.

- To jeśli to pani siostra, to może moglibyśmy zrobić jej zdjęcie w warunkach studyjnych, tak, by nadawało się do druku w tak dużym formacie? Oczywiście nie kosztowałoby to panią nic więcej.

- No jak tak, to byłoby fajnie, ale ona się już ścięła i brzydko wygląda teraz, a w ogóle to wyjechała do Holandii.

Wiecie na czym się skończyło? Na tym, że Szara Myszka podpięła tablet graficzny i namalowała od zera portret tej Karyny z zachowaniem każdego jednego detalu. Zajęło jej to coś koło dwudziestu roboczogodzin, z czego trzy czwarte tego we własnym zakresie po pracy. Na studiach podobno jej pasją było malarstwo, no to mogła spełnić życiową aspirację półtorametrowym profilem jakiejś lochy, nałożonym później w minutę na kolorowe tło bezczelnie podjebane z Freepika przez Sebę.

Klientka była zadowolona, ale na pewno nie zachwycona, uznawszy, że jej siostra ma nieco inny kolor oczu, a prawe, czyli to, które było na malunku, w realu trochę ucieka jej w bok.

Jako że salon piękności „u Marioli” był w trakcie aktywnego remontu, Karyna życzyła sobie żebyśmy dawali jej znać jak przyjdzie nam któraś z zamówionych przez nią trzech rzeczy, bo a nuż przyda się ekipie. Wysłałem jej więc eska że mamy znak przestrzenny i że może go sobie odebrać jeśli chce.

Przyszła pół godziny później żeby go obejrzeć.

- Ale on mały coś. - Stwierdziła na wstępie.
- Wymiary są zgodne z zamówieniem, sprawdziliśmy je dokładnie zanim wysłałem pani wiadomość.

- No ale widzę chyba że małe jest. Na zdjęciu było większe.

Nie na zdjęciu, jak już, tylko na fotoszopce poglądowej jebniętej w dwie minuty. Niemniej wymiary były mniej więcej zgodne, na tyle, na ile mogły być. Podejrzywałem co ponosi tu winę – na poglądówce logo ustawiliśmy nad jakimś blatem czy ladą i tam ładnie wypełniało odsłoniętą część ściany. Nieotoczone przez cokolwiek, mogło więc wyglądać na mniejsze niż było naprawdę. Co też jej wytłumaczyłem.

- No ale małe jest. Ona miało mieć metr na metr.

- I dokładnie tyle ma.

- I miało wyglądać ekskluzywnie. A się nie błyszczy.

- Proszę pani, nie mówiła pani, że ma być błyszczące.

- No jak nie, przecież mówiłam, że ma wyglądać ekskluzywnie, c'nie? I jak tak patrzę, to nie ten kolor chyba zrobiliście.

Miałem ochotę jej pierdolnąć w ten pusty łeb, ale wziąłem głęboki wdech zgodnie z tym, co kiedyś poradziła mi Myszka, wyjąłem z szuflady jeden z wzorników kolorów, odnalazłem ten jeden konkretny, który Karyna sama przy podpisywaniu umowy wybrała i zaakceptowała, po czym przystawiłem tekturkę do logotypu. Prawie że idealne podobieństwo, a delikatnej różnicy odcieni trzeba by dopatrywać się wprawnym okiem przez lupę i to w studyjnym świetle.

- No ale widzę, że ta karteczka się błyszczy, a logo nie, c'nie?

- Winę ponosi tu materiał. Próbnik został wydrukowany na papierze kredowym, logo natomiast jest ze styroduru. Zaręczam jednak, że ton, nasycenie i jasność barwy są dobrane idealnie. - Wyjaśniłem, ciesząc się w myślach z tego, że Myszka rządziła mi parę teoretycznych wykładów, dzięki czemu teraz mogłem szpanować techniczną terminologią.

- A co jak mi nie będzie pasować w salonie?

- Do szyldu i naklejek na witrynach pasować będzie na sto procent.

- A do farby na ścianach?

- Jeśli pani ekipa remontowa pomaluje je odpowiednio dobraną farbą to również.

- A skąd oni będą wiedzieć jak ją dobrać?

- Najpewniej skorzystają z wzornika podobnego do naszego.

- A mogę pożyczyć ten wasz?

- Oczywiście, nie ma problemu, proszę.

Nie zobaczyłem go już nigdy. Nie żebym tęsknił za jakąś pojedynczą tekturką, szczególnie że próbnikami mieliśmy zajebaną calutką szufladę, ale nie lubię bardzo niestowności.

Żeby utrzyć tej Karynie trochę nosa za kwestionowanie naszej pracy, gdy ze szwagierką odwiedziliśmy salon „u Marioli” żeby sfinalizować umowę, pochwaliłem wystrój wnętrza i powiedziałem klientce:

- No widzi pani, logo idealnie pasuje do ścian. Elegancko.

A ściany oczywiście tak jak ono były elegancko matowe.



Kryminalni

Nie ma lepszej formy reklamy jak poczta pantoflowa, bo nie tylko nie trzeba za nią płacić grosza, ale przy okazji ukazuje was w zwykłym, ludzkim świetle, a nie jako kogoś z innego wręcz świata, nieosiągalnego dla zwykłych śmiertelników. Dzięki rekomendacjom przyjaciół i znajomych (zwykle Zuzy) zyskałiliśmy chyba z tuzin mniejszych klientów, którzy potrzebowali od nas jakichś drobnostek. Logo tutaj, ulotka tam, i biznes się kręcił.

Pewnego późnojesiennego dnia w naszym biurze zawitał dresiarz, wyglądający bardziej jak ktoś, kto przyszedł żeby coś zajebać, niż zamówić. Sięgnął do kurtki i spodziewałem się, że wyciągnie z niej jakiś nóż albo chociaż scyzoryk, ale nie. Wyjął z kieszeni pendrive'a i usiadł po drugiej stronie mojego biurka.

- Też, joł, Szymi mi mówił, że tu pracuje jakiś ziom-ziombal-ziomeczek, pamiętam cię z gimbazy jak byliście w pierwszej klasie, c'nie?

Uśmiechnąłem się, ani trochę nie pamiętając jego osoby.

- Kopę lat. - Odpowiedziałem wymijająco, acz wesoło.

- To ten, mam mały biznes. Pomoglibyście mi z nagraniem jednym?

- Co konkretnie mielibyśmy zrobić?

- Wyostrzyć filmik żeby było widać rejestrację.

- Rejestrację?

- No mam nagranie jak samochód jedzie, ale nie widać co ma na blachach.

- Eee... - Zająknąłem się. - Obawiam się, że jesteście agencją reklamową, a nie detektywistyczną. Nie mamy narzędzi do wyostrażania nagrań, ale możemy panu pomóc skontaktować się z profesjonalistami.

- Nie, bo to prywatna sprawa, łapiesz? Przyszedłem tu, bo Szymi mówił, że jesteście przyjaciółmi i można wam zaufać.

- Miło mi to słyszeć.

- No to zobaczcie tylko, czy da się coś z tego nagrania wyciągnąć. Zapłacę wam z góry za fatygę, a jak się nie uda, to chuj. Na policję przecież nie pójde, kurwa.

Szara Myszką wychyliła głowę zza swojego monitora, obserwując typa ze strachem wypisanym na twarzy, ale w sumie niewiele to znaczy, bo z reguły czuła się zagrożona w towarzystwie kogokolwiek obcego.

- To bardzo nietypowe zlecenie. Poczeka pan minutkę? Muszę skonsultować kilka technicznych spraw z szefową. - Powiedziałem typowi, wstając z fotela i idąc do gabinetu Zuzki, mając przy okazji nadzieję, że Myszką nie zrobi mi później zębki za to, że zostawiłem ją samą z degeneratem w jednym pomieszczeniu.

- ... twój brat ma sprawę, zadzwonię potem, jeszcze nie skończyłam z tobą świntuszyć, skarbie. Papatki! - Pożegnała się przez telefon i odwróciła do mnie. - Co tam, Miśku? Masz pozdrowienia od siostrzyczki.
- Bardzo się cieszę. Słuchaj, Zuzia, do biura przyszedł typ z cholernie dziwnym zleceniem. To jakiś kumpel Szymiego, chce żebyśmy odczytali mu numer rejestracyjny z nagrania.
- To bardziej robota dla policji.
- No. Ale chce żebyśmy my to zrobili. Mówi, że zapłaci z góry bez względu na to, czy nam się uda. Jej usta rozciągnęły się w rozbijającym uśmiechu.
- No to zapraszaj go do mnie! Klient nasz pan. A w razie czegoś zagadamy do Ziemka i coś się wymyśli.

Gość nie kłamał. Dał nam przedpłatę w postaci stówki, byśmy stwierdzili, czy z nagrania da się coś wyciągnąć, i to mnie przypadł obowiązek przyjrzenia się mu z bliska zanim zabralibyśmy się za poszukiwanie specjalisty albo trucie dupy Ziemkowi żeby coś wymyślił.

Z godzinnego nagrania jakimś losowym edytorem online wyciągnąłem kilkusekundowy fragment z poszukiwanym samochodem przejeżdżającym od jednej strony ekranu do drugiej, skonwertowałem go do postaci osobnych klatek, usunąłem te powtarzające się i zabrałem za analizę. Obraz na pierwszy rzut oka wyglądał całkiem nieźle i miał wysoką rozdzielczość, ale po zbliżeniu okazało się, że wszystkie detale są rozmyte i nieczytelne, co potęgował podbity dodatkowo kontrast.

Nie wydawało mi się, bym cokolwiek mógł z tym zrobić, ale nie mając nic innego do roboty, wyciąłem z każdej klatki sam przedni zderzak z tablicą i ustawiłem je w rzędzie jeden koło drugiego, licząc na to, że w ten sposób dostrzegę wyraźniej jakieś konkretne powtarzające się kształty cyfr lub znaków.

Pół godziny później udało mi się odcyfrować dwa czy trzy ostatnie znaki z większą niż mniejszą pewnością, że są poprawne. Wobec dwóch innych miałem jakieś podejrzenia i typy, reszta z kolei była dla mnie kompletną zagadką i nie udało mi się ustalić kompletnie niczego.

Wysłałem to, co wydukałem do dresiarza, dodając dla bezpieczeństwa, że więcej w warunkach „polowych” nie da się z nagrania wyciągnąć, ale jak będzie chciał, to przekażę projekt dalej, do kogoś, kto posiada doświadczenie z takimi rzeczami.

Spodziewałem się, że otrzymam jakąś wściekłą, pełną błędów odpowiedź, w której klient będzie kazał zwrócić sobie kasę za to, że nie udało mi się dojść do żadnych konkretnych wniosków, a tu ku mojemu zaskoczeniu parę godzin później przyszedł mi mail o zupełnie odwrotnej treści. Poza błędami, tych było akurat od chuja, więc moje przypuszczenia przynajmniej w tej kwestii okazały się słuszne.

Generalnie dres był bardzo zadowolony z naszych usług, dzięki naszej analizie namierzył jakieś numery przez innego ziomka i obiecał przyjść następnego dnia z drugą stówką w ramach podzięki, mówiąc jeszcze, że Szymi miał rację, zapewniając go, że jesteśmy w porządku. Na real.

- Zobacz, mógłbyś dodać sobie teraz nowy wpis do CV. „Śledczy” albo „detektyw”. Brzmi w pytę, co nie? - Zagaiła mnie Zuzka, przewieszając mi się przez ramiona i kładąc brodę na barku, w minutę po tym, jak zadowolony Bonus wyszedł z naszego biura.

- A co, planujesz mnie zwolnić?

- Ehe. Twoja śliczniutka siostra nie dałaby mi żyć, gdybym to zrobiła. Od razu złożyłaby mi wypowiedzenie związku i wyrzuciła na bruk, kopiąc jeszcze w tyłek na pożegnanie.

- Czyli jeśli dobrze rozumiem, moja pozycja w agencji jest bezpieczna?

- No wiesz, na pewno tak długo, jak jestem w związku z Izą. - Zachichotała. - Gdyby mnie rzuciła, to kto wie. Ale zawsze możesz spróbować wkupić się w moje łaski i ubezpieczyć na każdą ewentualność. Szczególnie teraz, gdy zarobiłeś dwie stówki nie robiąc prawie nic.

- Jakaś ty łaskawa, moja kochana.

- Czego się nie robi dla rodziny, prawda? Co powiesz na wypad we dwoje do kafejki? Ty mi postawisz kawę, a ja tobie ciastko. Brzmi fajnie?

- Niech będzie, w drogę, tylko najpierw ze mnie zejść.

- Nie zaniósłbyś mnie na miejsce na barana? - Zaśmiała się, obejmując mnie mocniej za szyję żebym czasem nie zepchnął jej z siebie wstając. - Bez kofeiny nie mam energii, no po prostu zaraz padnę z nóg.

- Ty nie masz energii? Prędzej uwierzyłbym, że Iza cię rzuciła.

- No okej, złapałeś mnie na lekkim kłamstewku. Ale powiem ci w sekrecie, że ani ojciec ani tym bardziej moi, ekhm, „bracia”... - Wzdrygnęła się ze wstrętem na samą myśl o nich. - ... nigdy mnie nie nosili na barana. Nawet raz. Nie czujesz żalu na samą myśl, co mnie ominęło w dzieciństwie?

- Mnie siostra też nigdy nie nosiła na barana. - Odparowałem.

- Ale ty za to nosiłeś ją, masz więc doświadczenie, ja nie jestem przecież wiele cięższa od niej.

- Niewyobrażalna jesteś, naprawdę. - Przetarłem twarz, uznając swoją porażkę i godząc się z myślą, że przynajmniej przez część krótkiej drogi do pobliskiej kafejki będę musiał dźwigać na plecach jej cztery litery. - Lepiej żeby to ciastko było tego warte.

Usiedliśmy przy stoliku z widokiem na ruchliwą drogę, z obiecanyymi kubkami kawy i ciasteczkami, które Zuza zafundowała z własnej kieszeni, wdzięczna za to, że bez większego narzekania zaniósł ją na miejsce. Łatwo byłoby mi ją z siebie zrzucić w momencie, gdy pierwszy raz na mnie wskoczyła, ale wiecie, jakkolwiek by się nie zgrywała, czułem, że naprawdę chciała zostać przewieziona na barana. Tak szczerze, nie dla draki. To, że nigdy nie doświadczyła tego ze strony ojca i braci nie było żartem; była tego spragniona, zresztą podobnie jak ogólnie pojętej rodzinnej bliskości, której za młodu nie doświadczyła.

- Musimy częściej urządzać sobie takie wypadki. - Uśmiechnęła się, z grubym paskiem pianki z cappuccino na górnej wardze.

- Nie powiem, wybrałaś bardzo miły lokal.

- Miałam bardziej na myśli noszenie mnie na barana. - Zaśmiała się, kopiąc mnie delikatnie w pizczel pod stolikiem.
- Chciałabyś, co?
- Co poradzić, taka ze mnie panna wygodnicka.
- Uważaj, bo następny klient może przyjść do nas z nagraniem, na którym nie ma samochodu, tylko ty na moich plecach wesoło wrzeszcząca „wio”.
- Weź mnie nawet nie strasz.
- No co? Izka chyba by się popłakała ze śmiechu na nasz widok.
- Ona może tak, ale... Miśku, mówiłam ci kiedyś o tym, jak w maturalnej klasie miałam jedną nieprzyjemną sytuację za kółkiem i potem robiłam w gacie przez pół roku, bojąc się, że złapała mnie jakaś kamera?
- Nie. Ale przy twoim stylu jazdy wcale mnie to nie dziwi. - Zażartowałam, na co ona wywróciła tylko oczami tak, jak robiła to często jej druga połówka.
- Tylko ani mru mru Izuni, okej? Mówię śmiertelnie poważnie. Bo będzie mi zabierała kluczyki do końca życia albo nalegała żeby to ona prowadziła.
- Dobra, masz moje słowo. Buzia na kłódkę.
- Okej. Jechałam furą rodziców z Gryzołem...
- Z czym? - Przerwałam jej.
- Moim psem. Też ci nie mówiłam, co? Mieliśmy trzy, i... dwójka synów moich starych, że tak ich nazwę, chciała nazwać je Hyzio, Dyzio i Zyzio, bo od urodzenia ich pustych głów nie zaszczyciła nawet jedna oryginalna, niezależna myśl. Wstawiałam w nocy i zanosiałam psiakom smakołyki, przyuczając ich do reagowania na imiona, które sama im wybrałam.
- Boję się pytać jak nazwałaś pozostałą dwójkę.
- Kizioł i Mizioł.
- Nazwałaś psy Kizioł, Mizioł i Gryzoł? - Parsknąłem, bo nie wyobrażałem sobie czegoś bardziej zuzowatego.
- Ehe. Tuziakowi i Bosakowi tyłki chciały pęknąć wpół z bólu, jak wszystko wyszło na jaw. Ten drugi nawet się na mnie rzucił z pięściami, ale padł po strzale jak to typowy wykastrowany hitlerjugend. Jeszcze potem poszedł na mnie naskarżyć ojcu że mu nastukałam. No ale wróćmy do samochodu. Jechałam z Gryzołem do weterynarza i minęłam autobus na przystanku, zza którego wyskoczyła mi jakaś dziewczyna. Dałam po hamulcach, ta śmignęła mi tuż przed maską i jakoś zaczepiła się plecakiem o moje lusterko, robiąc jebane salto i lądując na ogrodzeniu głową w dół.
- I co? Złapała cię kamera?
- Nie, szczęśliwie nie. Zatrzymałam się, zapytałam się gówniary czy nic jej nie jest, odpowiedziała że wszystko gra, dalej rozciągnięta na betonie z nogami w górę, sprawdziłam czy Gryzołowi nic się nie stało i pojechaliśmy. Byłam w takim szoku, że dopiero u weterynarza dotarło do mnie jak bardzo mogę mieć przejebane, gdyby ktoś spisał moje numery, nagrał albo okazało się, że tej lasce coś się jednak stało. Przez dwa tygodnie nie mogłam spać przez wyrzuty sumienia i strach.

- Bidulko ty moja, dobrze, że od paru lat masz dostęp do całodobowej pomocy psychologicznej.
- Ha, ha. - Odparła sucho. - Ale wyciągnęłam z tego jakieś wnioski i od tamtego czasu jeżdżę spokojniej. Wzniesmy więc toast za sukces mój i twój.
- Zbiliśmy ze sobą kubki i pociągnęliśmy po łyku cappuccino.
- Zuzia, a tak à propos ścigania ludzi z nagrań... jesteśmy czyści, co? Nikt nas nie wezwie do sądu jako świadków w związku z tym samochodem z filmiku?
- Coś ty, z powodu śmietnika? - Prychnęła, ułamując sobie kawałek ciastka.
- Jakiego śmietnika?
- No nie pytałeś tego dresa o co kaman? Ktoś zakosił jego teściom śmietnik.
- Jaja sobie ze mnie robisz.
- Mówię serio! Złodziej podjechał pod bramę ich domu, gdzie wystawili śmietnik żeby śmieciarze go opróżnili, wysypał całą zawartość na chodnik, załadował do bagażnika i uciekł.
- Ktoś ukradł komuś śmietnik. - Powiedziałem powoli, nie dowierzając temu, co od niej właśnie usłyszałem.
- No. Jeden z tych stulitrowych.
- I zapłacił nam dwie stówki za namierzenie tablic złodzieja? Nie wyszłoby go taniej kupienie nowego? - Złapałem się za głowę.
- Jak to sama mówię, „pieniądze to nie wszystko”. Może chodziło o honor albo sentyment? - Zaśmiała się i znowu poczułem jej trampka uderzającego zaczepnie mój piszczel. - Tym większy mamy powód do świętowania, Miśku! Wypłata sama do nas przyszła, także uśmiech, proszę!
- Spełniłem jej prośbę, rozbrojony surrealizmem kradzieży i śledztwa.
- A teraz skosztuj ciasteczka, bo poza tym, że jest pyszne, będziesz potrzebował dużo energii żeby zanieść na barana swoją najukochańszą, lekko szurniętą szwagierkę do biura.



Słodkie słówka

Skoro z Izą i Zuzą trzymaliśmy się tak blisko, jak się trzymaliśmy, to siłą rzeczy nasze indywidualne grupki przyjaciół zaczęły się scalać w jedną dużą. To tak, jak te jebane operacje booleanowskie, które wyjaśnił mi w bolesnych szczegółach Ziemek – kilka zbiorów zbliżyło się do siebie i w miejscu, gdzie się na siebie naszły, powstał nowy, którego wszyscy członkowie znali i lubili wszystkich pozostałych.

Żona Szymiego wyjechała z gównakiem na tydzień, co oczywiście ten wykorzystał do wzięcia lewego L4 i imprezowania bez umiaru pod jej nieobecność. Zaprosił nas któregoś dnia cugu na domówkę po domówce po domówce, no i we troje wpadliśmy do niego, nie spodziewając się tego, co ujrzymy w mieszkaniu.

W przedpokoju jakieś błoto i zaschnięta kałuża rzygowin albo zielonej sraki, obok niej worki, puste puszki po piwie i kubeczki po nudlach w sosie bolońskim. Łazienka zarzygana. Cała. Włączając w to ściany. W kuchni dwie kraty wypełnione pustymi butelkami po piwach, jakieś

papiery pozostałe po kebabach czy kurczaku z różną, i do tego pokaźny stosik pudełek po pizzach. A w dużym pokoju na rozłożonym narożniku leżeli sobie we dwóch zajebani Szymi z Emilem, ubrani tylko w bokserki, skarpetki i ten drugi czapeczkę Prosto, słuchając z telefonu Peji i oglądając jednocześnie pornosa na telewizorze.

- Joł, chodźcie, chodźcie, mi kasa es... ten, kurwa, kasa, no! - Zachrypiął Szymi, patrząc na nas przekrwionymi, ledwo kontaktującymi oczyma.

Skoro już o jesteśmy w hiszpańskich tematach, to jego kompan zaśmiał się jak Denver z La Casa de Papel, po czym pociągnął konkretnego bucha z bongo tak, że aż oczy wywróciły mu się do góry. Przez moment pomyślałem też, że nabrał bordowych rumieńców, ale nie, to tylko sos pomidorowy albo keczup, którym cały był umazany.

- Żona cię zabije, jak zobaczy, co zrobiłeś w mieszkaniu! - Powiedziała z przerażeniem moja siorka, spoglądając to na parę damskich majtek wiszących z drzwi od szafy, to na tarczę zawieszoną na ścianie i obitą rzutkami farbę wokoło niej, to na ustawione na stoliku figurki policjanta i strażaka w niedwuznacznej pozycji.

- Ej, luz, wracają z małym dopiero w niedzielę rano!

- Czyli jutro.

Szymiego kompletnie zatkało. Przeliczył na palcach dni, które minęły od wyjazdu jego lubej, ale coś mu wyraźnie nie pasowało.

- Joł... jaja se ze mnie robisz, c'nie? Przecież jeszcze dwa dni nie wróci.

Siorka wtuliła się w ramię Zuzy żeby nie wybuchnąć otwarcie śmiechem, nie chcąc sprawiać mu przykrości czy nabijać się z niego, gdy groziła mu prawdziwa jesień średniowiecza.

- To dzisiaj... niedziela? - Zapytał drugi idiota.

Z dziewczynami już nie mogliśmy wytrzymać. Nie było sensu dalej się hamować żeby nie było debilowi smutno, po prostu staliśmy tam, gnijąc bardziej od trupa Lecha Kaczyńskiego po dziesiątej ekshumacji z pieniędzy podatników. Zuza strzeliła jeszcze dwóm przyjaciółom szybką fotkę, żeby czasem nikt z obecnych nie zapomniał, co odjebali na haj, po czym we trójkę poszliśmy do kuchni żeby naradzić się co robić. Mogliśmy wyjść, to byłoby najprostsze, ale nie nie moglibyśmy spojrzeć w lustro zostawiwszy dwóch głupków w takim burdelu, bo żona Szymiego, która miała wrócić następnego dnia, była z krwi i kości pato Karyną, która jak nic zgotowałaby mu konkretne piekło. Z drugiej strony kto by nie zrobił na jej miejscu?

Podjęliśmy w końcu po głębokiej naradzie decyzję żeby zobaczyć, czy możemy jakoś pomóc ogarnąć mieszkanie, a jeśli tak, to pomożemy na tyle, na ile jesteśmy w stanie. Sprzeciwów nie było – jak mówiłem, wszyscy byliśmy jedną paczką przyjaciół i staliśmy za sobą murem.

Wróciliśmy do dużego pokoju, gdzie porno dalej leciał sobie w najlepsze na sześćdziesięciocalowym ekranie, a Szymi wkładał dresy, otrzeźwiawszy nagle na wieść, że jego nie tak bardzo kochana żonka wróci za nie więcej niż dwanaście godzin.

- Ej, gdzie trzymamy worki na śmieci? - Zapytał się mnie z opętańczym strachem w oczach.

- A skąd mam wiedzieć?

- Nie wiem! Bo ja też nie wiem, ja tylko śmieci spod zlewu wyjmuję i wynoszę jak Karyna każe!

Po raz kolejny śmiechliśmy, tym razem z Emilem, który wydał z siebie kolejne przecpane, urywane niczym fala prostokątna „ha-ha-ha-ha-ha”.

- Tej, jak ja kurwa mam uprzątnąć mieszkanie do rana? - Zapytał ten trzeźwiejszy, czyli gospodarz, podnosząc się na nogi i wpadając na stojącą obok lampę, bo mimo że był trzeźwiejszy, to i tak trzeźwym nie można było go w żadnym wypadku nazwać.

Podniosłem go i usadziłem na narożniku, podczas gdy dziewczyny wyszeptwały między sobą parę zdań i w końcu stanęły nad nim z założonymi na biodrach rękami.

- Masz jakąś kasę? - Zapytała go Zuza.

- Joł, no coś mam.

- To słuchaj, bo wpadliśmy na pomysł. W naszym bloku jest bardzo fajna sprzątaczką. - Kontynuowała moja siostra. - Możemy do niej zadzwonić i się zapytać, czy nie pomogłaby ci z tym... bałaganem.

- Burdelem. - Poprawiła ją Zuzka, mrugając flirciarsko.

- Burdelem. - Powtórzyła jej partnerka.

Zadzwoniły więc, sprzątaczką mimo późnej godziny nie miała nic przeciwko dorobieniu sobie stówki, więc Iza pojechała po nią. Miałem się też dla towarzystwa zabrać, ale dobrze, że tego nie zrobiłem, bo przegapiłbym najniezręczniejszą część inby. Chociaż... może lepiej, gdybym jednak z małą pojechał, dla dobra własnego zdrowia psychicznego.

Podczas gdy ja zabrałem się do ładowania jakichś niedopałków do pustych paczek po chipsach i wietrzenia zadymionego od trawy pomieszczenia, Zuza pomogła się ubrać porobionemu na umór Emilowi i usadziła go obok swojej powoli trzeźwiejącej papużki nierozłączki, tępyim wzrokiem oglądającej pornola.

Dziewczyna złapała za pilot żeby go wyłączyć, ale obaj zaczęli ją błagać żeby tego nie robiła.

- Chcecie oglądać pornusa przy sprzątacze?

- No może ona chociaż doceni wartościowe kino, nie? - Odparł Szymi zupełnie poważnie.

Zaśmialiśmy się wszyscy. Zuzka uśmiechnęła się do mnie, wzruszając ramionami, niewerbalnie mówiąc mi „w sumie...”, po czym przysiadła obok nich, łapiąc za jedno ciacho i dołączając do seansu.

- Serio? - Zapytałem retorycznie.

- Pani Bożenka będzie za parę minut, chodź, obejrzymy sobie razem film.

Rzuciłem więc paczkę na ziemię i przysiadłem się. Bo co innego mogłem zrobić?

- To jest życie... - Wybełkotał Głupi po minucie seansu.

- No... chciałbym żeby moje tak wyglądało. - Dodał Głupszy, wpatrzony w ekranową matkę przymuszaną właśnie przez syna do głębokiego aż po same jaja anala.

- Macie przecież żony, może dadzą się ubłagać na kazirodczy roleplay. - Zażartowałem.

- Ale to nie to. Spójrz sam, tu są emocje. Prawdziwe. - Wyjaśnił Emil.

Wymieniłem ze szwagierką spojrzenia.

- Nie zrozumiecie. Chociaż nie, Zuzka, ty zrozumiesz, bo taka sama energia płynie od ciebie i Izy.

- Nieźle się upaliliście, chłopaki. - Zaśmiała się. - Energia...

- No, na real. - Wtrącił się Szymi. - Jak was dwie widzę, to widzę miłość, a jak widzę nasze żony, to widzę... ten... nie widzę miłości.

Zuza ugryzła ciastko, zastanawiając się głębiej, niż było to konieczne w kontakcie z dwoma zajebanymi idiotami. Pewnie powinniśmy byli urwać tę rozmowę, gdy w ogóle zaczęli pierdolić o energiach i emocjach kazirodczego porno, albo lepiej, powinniśmy byli w ogóle wyłączyć im pornosa, ale gdybyśmy to zrobili, nie byłoby tej historii, prawda?

- No, tu się zgodzę akurat. Kocham ją, ona kocha mnie. - Odparła. - Ale co to ma wspólnego z pornosem?

- Nic. - Odparł Emil, drapiąc się po umazanym keczupem policzku.

- No to po cholere opowiadacie coś o prawdziwych emocjach?!

- Bo one są akurat prawdziwe.

- Tu nawet orgazmy nie są prawdziwe, a co dopiero emocje! - Rzuciłem sarkastycznie. Zuza zgodziła się, energicznie mi przytakując.

- No widzisz, bo ty nie rozumiesz dalej. Tu o miłość chodzi, c'nie? Twoja siostra to ma, a my nie. Zuzka, co czujesz, jak się ten, wiesz, jeb... kochacie?

- Eee... niebiański orgazm, jeden po drugim, aż dostaję mroczków przed oczami? - Spojrzała na nich, ale wyraźnie oczekiwali innej, mniej... fizycznej, a bardziej metafizycznej odpowiedzi, bo poprawiła się. - Nie... eee... obustronną miłość i pewność, że jestem z tą jedyną osobą, do końca świata? O to wam chodzi?

- Joł, wreszcie rozumiesz. Ale weź wdech, c'nie? Powiedz jak cała sobą czujesz waszą miłość.

- Czemu miałyby obchodzić co robimy w łóżku? Chcecie sobie zwalić pod wyobrażenie naszego lesbijskiego seksu, tylko wstydzicie się zapytać wprost?

Zaczęli się wymawiać i zaprzeczać, ale Zuza wyczuła dobry moment do splećcia im lekkiego figła. Tak to już z nią było – od dziecka uwielbiała robić sobie żarty z innych. Potrafiła być jak rekin, który wyczuwszy krew, natychmiast rzucał się na ofiarę i nie dawał jej szansy na ucieczkę. A dwóch ćpunów było ofiarami wprost idealnymi.

Przyjęła seksowną pozycję, zakładając nogę na nogę i wypinając do przodu piersi, po czym zbliżyła się nieco do tego bardziej z tych dwóch zajebanego Emila i powiedziała mu seksownym jak cholera tonem, o który w życiu bym jej nie podejrzewał:

- Kochamy się długo i namiętnie, pieścimy swoje ciała, całujemy, jakby każdy pocałunek miałby być tym ostatnim. Jej skóra jest jak jedwab, tylko ciepła i przy każdym dotyku moich ust drga lekko w błogim uniesieniu...

- Ej, joł... - Głupi próbował skrzepowanym głosem ją powstrzymać, Głupszy natomiast spuścił wzrok i wykrzywił się, jakby zbierało mu się na płacz. Czemu, zapytacie? Dlatego, że dla przypomnienia moją siostrę znali odkąd była gówniarą i traktowali ją jak... jeśli nie siostrę, to przynajmniej bliską kuzynkę. Była jedną z nas. Zmierzam tu do tego, że wysłuchując tych obrazowych opisów jej życia seksualnego, byli prawie tak zakłopotani jak ja sam.

- Całowaliście kiedyś swoje żony w uszy? Piszczatyby z rozkoszy, możecie mi wierzyć na słowo. Odgarniam Izuni włosy i muskam ustami jej słodkie uszka, słuchając przyspieszającego oddechu. A potem przechodzimy do dalszej części gry wstępnej. Wiecie, że pieszczoty stóp to nie tylko męska fantazja?

Emil tym razem na pewno się zarumienił spod poplamionych keczupem policzków.

- Zuza... wiesz... może zajmijmy się sprzątaniami, co? - Zapytałem ją niezręcznie.

Spojrzała na mnie, wywróciła oczami i powiedziała normalnym już tonem:

- Och, daj mi się trochę zabawić kosztem tych dwóch. Zaslugują na nauczkę i wierz mi na słowo, zapamiętają ten dzień na bardzo długo. Zobaczysz, ich żony przysłały mi jeszcze czekoladki w podziękę za postawienie ich do pionu.

- Chyba zbyt dosłownie traktujesz „stawianie do pionu”.

Na moment zrobiła zawstydzoną minę, potem ściągnęła brwi chyba chcąc rzucić jakąś ripostą, ale w końcu zaśmiała się serdecznie.

- Okej, wygrałeś. Ale i tak dokończ swój wykład. Jedno przejęzyczenie mnie nie zniechęci.

- Zdziwiłbym się, gdyby zniechęciło, uparciuchu kochany. Ale ja sobie dalszą jego część daruję. Są rzeczy, o których nie chcę wiedzieć. Posprzątam trochę.

- Miłej zabawy. A was dwóch posłucha sobie w międzyczasie o... gdzie ja stałam? Ach, oczywiście, na ślicznych, całusnych stópkach, które z początku uszły mojej uwadze, ale z czasem pokochałam je jak suczka Pawłowa...

Wyszedłem z pokoju i poszedłem do kuchni, to chichocząc pod nosem, to próbując uspokoić rapujący mózg, bo zbierało mu się już na nagranie płyty. Parę worków z cuchnącymi, gnijącymi resztkami wrzuciłem do jednego pudełka po pizzy, próbując zagłuszyć dobiegający z pokoju podniecony głos Zuzi opowiadający o tym, jak świeży francuski pedicure jej ukochanej działa na nią jak kocimiętka na dachowca. Zadzwoił mi w kieszeni telefon. Siorka. Dobrze, musiałem dla odmiany usłyszeć głos kogoś normalnego.

- Wychodzimy właśnie z panią Bożenką, będziemy za dziesięć minut. - Odezwała się po drugiej stronie wesołym, błogo nieświadomym sytuacji w mieszkaniu tonem. - Jak wam idą porządki?

- Eee... powolutku. Zbieram większe śmieci w kuchni.

- A pozostała trójka? Niech zgadnę, Zuza się do nich przysiadła i sobie pali, podczas gdy ty samemu sprzątasz?

- Przysiadła, to prawda, ale akurat nie pali. Chociaż po tej rozmowie będą mieli berety zryte bardziej, niż po jakakolwiek trawie.

- Wkręca ich? Straszy dla jaj? Czy się z nich po prostu nabija?

Wychyliłem się zza winkła żeby sprawdzić, czy czasem nie skończyła ich terroryzować.

- ... całuje mi piersi i z namaszczeniem liże przekłute sutki, czując się, jakby miała pod językiem baterię... - Szwagierka relacjonowała swoim tonem femme fatale ujaranym przyjaciółom.

- Snuje... snuje opowieść. - Powiedziałem do słuchawki martwo, nie czując już żadnych emocji, nawet jednej.

Gdy Izka weszła ze sprzątaczką do mieszkania, zdążyłem już w miarę uprzątnąć największy syf w kuchni, który załadowałem do worka na śmieci znalezionej, uwaga, tuż obok samego kosza w szafce pod zlewem.

Zostały plamy rozlanego piwa, brudne naczynia i jakieś dziwne zacieki na jednej ścianie, które chyba też były pozostałością po browarze, ale co ja tam wiem. Znając tych dwóch i patoli, z którymi czasem się bujali, nie zdziwiłbym się, gdyby była to zaschnięta sperma albo sraka.

Przywitałem się z kobitką, po czym przeszliśmy we troje do dużego pokoju, gdzie Zuza szeptała coś do ucha czerwonym na twarzach Szymiemu i Emilowi. Pornos się już skończył, teraz oglądali sobie jakąś kiepską animację dla kilkulatków na Youtube.

Szwagierka dała pstryczka w ucho temu drugiemu, który aż drżał po jej monologu na całym ciele. Nie wytrzymał dłużej – przemógł swoje narkotyczne zajebanie, zerwał się na równe nogi i potykając się co krok, pobiegł prosto do łazienki.

- A temu co? - Zapytała moja siostra, patrząc na figlarnie uśmiechniętą partnerkę siedzącą sobie niewinnie na narożniku.

- Porady małżeńskie. Pomogłam chłopakom zrozumieć nieco lepiej płęć piękną.

Wspólnymi siłami przystąpiliśmy do porządków. Naćpany gospodarz wynosił na śmietnik wszystkie pękate wory, ja poszedłem do piwnicy żeby zobaczyć, czy nie ma tam farby do ścian i gipsu żeby zatkać dziury po rzutkach, siorka myła naczynia, Emil, zwaliwszy sobie wcześniej konia w kiblu po terapii szokowej Zuzki, mył zabłoconą i zarzyganą podłogę w przedpokoju, Zuza odkurzała duży pokój, a pani Bożenka zapierdalała jak mały samochodzik, robiąc milion rzeczy jednocześnie, od mycia ścian w łazience po układanie ubrań w szafkach.

Skończyliśmy coś koło jedenastej w nocy, z efektami takimi, że naprawdę tego mieszkania nie widziałem w lepszym stanie. Było w nim czystiutko, miło w nim pachniało, nikt by nie pomyślał, że parę godzin wcześniej była śmierdząca, zarośnięta brudem meliną.

Pożegnaliśmy się wszyscy, nieco już wytrzeźwiału gospodarz dał pani Bożence dwie stówki za fatywę, a naszą trójkę wyściskał i podziękował za uratowanie dupy przed swoją Karyną.

Wyszliśmy na nocne, mroźne powietrze i gdy już mieliśmy się rozejść w swoje strony, Iza wzięła mnie na moment na stronę, puszczając spod szalika kłęby pary.

- Co Zuzia wywinęła tym razem? - Zapytała.

- Kiedy?

- W mieszkaniu. Powiedziała mi, że udzielała tym dwóm porad małżeńskich, ale do końca porządków, gdy była w pobliżu, to stali na baczność w nerwach jakby była policjantką.

- Czyli chyba jej porady podziały?

- A „takiego”, już ci wierzę. Co ona im nagadała? Bo sama z siebie mi za nic nie powie.

- Powiedzmy, że... wytłumaczyła im dosadnie jak mogą poprawić swoje relacje z żonami i nadać związkom nieco miłosnej magii, której tak bardzo im brakuje, a którą wy dwie macie.

- I to ich tak wzburzyło? - Zaśmiała się i machnęła ręką. - Dzieciuchy jedne.

Uścisnęliśmy się na pożegnanie, ona odwróciła na pięcie i już miała odchodzić, ale chciałem jej coś jeszcze powiedzieć, bo jak nie w tym momencie, to pewnie nigdy. Nie wiedziałem tylko jak to ubrać w słowa:

- Hej... - Przyciąłem się. - Wiesz... jesteście obie szczęściarami, że siebie macie.

Szymi nie dostał wpierdolu od żony, gdy ta wróciła następnego ranka z ich synem. Po prawdzie to nie mogła uwierzyć, że mieszkanie jest w takim stanie i że pod jej nieobecność posprzątała je i wyczyściła. Była zachwycona i ucieszyła się, że wreszcie, po raz pierwszy odkąd wzięli ślub, Szymi zrobił sam z siebie coś innego niż kac kupę.

Wpierdol dostał, gdy dowiedziała się, że przejechał przez tydzień całą wypłatę i odmówił powiedzenia jej na co, bo przecież nie przyznałby się, że na wodę, trawę, piwa i śmieciowe żarcie.

Drugi wpierdol dostał, gdy znalazła w szafce ze swoją bielizną elegancko złożone stringi niewiadomego pochodzenia, które pani Bożenka musiała tam włożyć.



Pandemiczny blues

Stażysta Mati nie zagrzał posady długo. Po sześciu miesiącach ustawowego stażu dostał gwarantowany trzymiesięczny okres próbny, ale teraz, gdy Urząd Pracy nie pokrywał już jego stypendium i ubezpieczenia, stało się jasne, że trzymanie chłopaczka jest dla nas mocno nieopłacalne, bo ani nie potrafił nic robić, nie nauczywszy się kompletnie niczego przez pół roku, ani nawet nie chciało mu się cokolwiek robić. Trudno byłoby oczekiwać od niego jakiegos wielkiego zaangażowania i chęci, gdy zarabiał minimum krajowe, ale przynajmniej przez wzgląd na względną znajomość z Zuzką mógłby udawać, że jakkolwiek mu zależy, bo dziewczyna jakby nie patrzeć dała mu szansę i próbowała zrobić z niego ludzi. Ten miał jednak wyjebane, bo ojciec ugrał mu już nową ciepłą posadkę w biurze lokalnej firmy kosmetycznej, w której wykupił procent udziałów, widząc w niej okazję do zbicia fortuny w związku z epidemią w Wuhan, o której wciąż nie mówiło się jeszcze dużo na zachodzie, ale przewidywano, że w przeciągu kolejnych tygodni w Europie pojawią się pierwsze przypadki zachorowań.

Wraz z upływem tygodni i narastaniem globalnej paniki, ilość realizowanych przez naszą agencję zleceń malała coraz bardziej i bardziej, odwrotnie proporcjonalnie do wzrostu ilości pacjentów w przychodni, w której pracowała Iza. Zapotrzebowanie na reklamę i marketing spadły prawie że do zera, pomijając największe krajowe agencje, których klientami były wielkie korpo – to one, razem z klasą milionerów, miały jako jedyne wzbogacić się podczas pandemii, podczas gdy cała reszta dostawała po dupie tylko bardziej, podczas gdy taplający się w gównie neofaszyści płakali i skamleli, święcie wierząc w to, że COVID to zwykła grypka, a szczepionki odzierają ich z wolności tak, jak oni odarli ze swoich kobiety, mniejszości seksualne i etniczne.

Udało nam się przetrwać pierwszą falę, pracując zdalnie w domach i realizując w większej mierze mniejsze projekciki. Wtedy poczułem pierwszy raz, że moja posada stała się w gruncie rzeczy niepotrzebna. Szwagierka zatrudniła mnie po to, bym był jej zaufaną prawą ręką, co miało sens w czasach, gdy każdego dnia w pracy coś się działo i Zuza musiałaby się rozdziwić

żeby ze wszystkim sobie poradzić, ale teraz, gdy cały świat zamarł w bezruchu, stałem się takim trochę piątym kołem u wozu, jak wcześniej Mati. Nieważne ile razy nie próbowałyby mnie przekonać, że jestem jej potrzebny, widziałem ile mamy teraz do roboty, jak spadły nasze comiesięczne zyski i ile czasu marnujemy oboje, na przykład sekstując sobie dla draki w godzinach pracy żeby powkurzać trochę Izkę, wypytując jaką bieliznę na sobie mamy, o ile w ogóle, bo naprawdę tak kurewsko się nudziliśmy, nie mając nic innego do roboty.

Pomijając nudę w pracy, lockdown nie był dla mnie jakoś specjalnie ciężkim doświadczeniem, ale Zuzka była na skraju szaleństwa, nie mogąc nigdzie wyjść i obracać się w towarzystwie, szczególnie, gdy jej ukochana spędzała całe dni w pracy. Często przyjeżdżała więc na rewir, gdzie zbijaliśmy bąki, graliśmy w gierki, oglądaliśmy seriale i pracowaliśmy, jeśli było nad czym pracować. Zwykle w takiej kolejności.

Było kiepsko, ale mieliśmy nadzieję, że może latem, gdy temperatury się podniosą, a liczba zakażeń w kraju spadnie, agencja wróci do działania na wszystkich cylindrach.

Część naszych stałych klientów, jak na przykład bananowy hotel czy salony samochodowe, reaktywowały większokalowy marketing, dzięki czemu mieliśmy coś do roboty, ale mniejsze firmy same miały swoje finansowe kłopoty i nie chciały inwestować w usługi reklamowe nie wiedząc, czy uda im się pod koniec miesiąca wyjść na plus.

Pandemia skutecznie zamroziła wszelkie eventy i targi. Szlag trafił większość naszych mniejszych, ale liczniejszych zleceń, a nowych przetargów pojawiało się w sieci tyle co nic. Jak mówiłem – wielkim korpo zlecenia wykonywali zaufani krajowi giganci marketingowi, cała reszta natomiast zaciskała pasa, w zaistniałej sytuacji uznając reklamę za niepotrzebny zbytek.

- Miśku, słuchaj... agencja cienko przędzie, nie wiem ile jeszcze uda nam się utrzymać. - Wyznała mi Zuza po kilku godzinach męczenia się, bo ewidentnie nie chciała mówić mi tego wprost, choć prędzej czy później musiała. Nie żeby wiadomość sama w sobie nie była oczywista, przecież widziałem ile robimy i ile zarabiamy w porównaniu z tym, jak wyglądała nasza praca przed wybuchem ogólnoświatowej paniki i pierwszym lockdownem.

Przełożyłem jej przez szyję ramię i przytuliłem.

- Zużka, nie przejmuj się. Co będzie to będzie. - Spróbowałem nieco ją pocieszyć. - Ale słuchaj, jeśli firma zacznie przynosić straty, to możesz mnie zwolnić, a ja i tak będę ci pomagał jak będzie trzeba, do czasu gdy kasy będzie wystarczająco dla czworga. Zaczepię się w starej firmie u mamy na przeczekanie.

- Wystarczająco na troje. Sebek odszedł niecały tydzień temu.

Zatkało mnie, bo to, co powiedziała Zuzka oznaczało, że comiesięczne zyski wystarczały na wypłacenie jej, mnie i Mysze ledwie nieco ponad minimum krajowego. O kurwa... byłem przekonany, że kasa dalej jest dzielona na czworo.

- Złapał jakąś fuchę u konkurencji, czy robi za freelancera? - Zapytałem ją w końcu, gdy opadł ze mnie pierwszy szok.

- Robi w magazynie. - Mruknęła z nieskrywanym zawodem.

- Ze swoim skrzypiącym łokciem?

- Nie sądzę żeby miał jakiś wybór. A jeśli już, to między tym, a zmywakiem. Chociaż teraz to pewnie nawet takiej fuchy by nie załapał, skoro wszystkie knajpy są pozamykane.

Milczeliśmy chwilę.

- Dodajmy do tego plajtę jednego naszego klienta i to, że drugi wisi nam kasę za realizację i do tej pory wpłacił tylko jedną ratę, scenariusz na przyszłość mamy więc co najmniej ponury. - Westchnęła. - Nawet, gdybyś odszedł, nie miałybyśmy z Myszką wystarczająco dużo zleceń żeby się utrzymać na powierzchni, a i tak i tak każdy dostaje po równo z tego, nad czym pracował. Sebek może nie jest już formalnym pracownikiem agencji, ale przecież nie wezmę dla siebie jego procentu, co nie?

- Na czym więc stoimy?

- O ile nic się nie poprawi, w miesiąc, może dwa, będę musiała zamknąć firmę.

Agencja wytrzymała jeszcze nieco ponad miesiąc, nim stało się nieuniknione. Ja wróciłem do starej, nudnej roboty, naturalnie do wydziału mamy jak wcześniej, z tą jedną różnicą, że przez kolejny rok miałem przeważającą ilość czasu pracować zdalnie. Zuza dzięki jednej koleżance złapała fuchę w jakimś doradztwie personalnym czy innym bananowym papieżu na kiju, prowadząc z mieszkania konferencje wideo i mówiąc swoim widzom to, co ci chcieli usłyszeć. Szara Myszką z kolei trafiła znowu na oddział zamknięty, bo utrata zatrudnienia i do pary spadnięcie z rowerka jakiegoś jej krewnego z powodu COVID zupełnie złamały wpół jej już i tak kruche poczucie względnej stabilności. Szkoda dziewczyny, naprawdę.

Praca przestała być dla mnie i Zuzki zabawą, a zaczęła być, nomen omen, pracą. Czymś, co musieliśmy robić, mimo tego, że nie sprawiało nam to najmniejszej przyjemności. Owszem, byłem we wciąż dobrej sytuacji, mogąc pracować zdalnie i gawędząc sobie z mamą o wszystkim i niczym, w tle robiąc to, co mieliśmy przewidziane na dany dzień, ale nijak miało się to do wychodzenia rano z domu na ośmiogodzinne spotkanie ze szwagierką i czasem niezapowiedzianymi gośćmi takimi jak Emil, Szymi czy Iza. Teraz wszyscy musieliśmy spotykać się po godzinach albo w weekendy jak zwykli, szarzy śmiertelnicy, co nie zmienia faktu, że bez względu na to jak często lub rzadko byśmy się nie widzieli, nasze relacje podczas pandemii nie uległy jakiegokolwiek erozji. Biznesy upadają, kryzysy i zapaści ekonomiczne wbudowane w DNA kapitalizmu uderzają i mijają, ale trwałe więzi wbrew wszystkim tym wzlotom i upadkom nienaruszalne. Agencja Zuzy może i plajtowała, ale pozostawiła po sobie masę miłych wspomnień oraz nasze bezsprzecznie umocnione tymi doświadczeniami rodzinne i przyjacielskie relacje. Bo to właśnie one były i dalej są dla mnie najważniejsze w całej tej przygodzie - niektóre wykonane w pracy realizacji napawały mnie dumą i czułem się spełniony, mogąc dorzucić do nich swoje trzy grosze, ale to nic w porównaniu z radością, jaką dawało mi samo przebywanie z bliskimi mi osobami przez osiem godzin dziennie. Właśnie to sprawiło, że nasza praca w agencji reklamowej była aż tak pozytywnym doświadczeniem. Gdybyśmy z Zuzką dorabiali sobie jako duet szambiarzy albo kopaczy rowów zarabiających minimum krajowe, również uważałbym to za zajęcie dobrze spędzony czas, nie żałując ani chwili, bez względu na to, ile bardziej intratnych etatów nie mógłbym pełnić sam, bez niej. W chuju mam pogoń za kasą, podobnie zresztą jak moja szwagierka, która miała zawsze w zwyczaju mówić, że pieniądze to nie wszystko. Zgadzam się z nią w stu procentach, choć oczywiście sposoby, w jakie doszliśmy do tej

banalnej konkluzji są zupełnie odmienne. Ona wychowała się w niepojętym dla mnie dobrobycie, ale bez wsparcia i miłości rodziny, ja natomiast w patologii, nie mając niczego poza wsparciem i miłością siostry oraz mamy. Oboje dowiedzieliśmy się jednak, co w życiu jest ważne i jak bezwartościowy jest w porównaniu z tym szmal. Wiecie, wielokrotnie podkreślałem w przeszłości inteligencję Izy, ale ta druga siostrzyczka też mi się udała, co?



Od autora

Każdej niedzieli Iza z Zuzą wpadają do nas albo my do nich, by zjeść rodzinny obiad i wspólnie spędzić popołudnie. To nasza drogocenna tradycja i musiałyby zdarzyć się coś naprawdę wyjątkowego, byśmy darowali sobie takie spotkanie. Czasem wyprawiamy się do parku na spacer, czasem dyskutujemy w najlepsze przez parę godzin przy herbatce, czasem oglądamy filmy, a tego zimowego dnia dziewczyny zaproponowały żebyśmy zagrali w Monopoly. One rozstawiły planszę, a ja w międzyczasie odpałem Spotify, by coś przygrywało nam miło w tle.

Chyba jeszcze podczas pierwszego okrążenia rozbrzmiały pierwsze nuty Here Comes the Sun Beatlesów, a zza chmur jak na rozkaz wyrzało słońce, wypełniając pokój ciepłym światłem. George Harrison zaśpiewał nam „już dobrze”, i wiecie co? Było dobrze.

Uderzyła mnie myśl, że nie tylko nie czuję się podle, ale nie pamiętam nawet, kiedy ostatnio obudziłem się z grymasem na twarzy, musząc wrócić do szarej, samotnej rzeczywistości nieumywalnej się do moich sennych światów, jak miałem w zwyczaju, gdy moim życiem władały jeszcze depresja i zaburzenia lękowe.

- Co się tak szczerzysz? - Szturchnęła mnie szwagierka. - Obmyślasz plan jak nas ograć?

- Lubię ten utwór. - Odpowiedziałem po krótkiej chwili. - I was dwie przy okazji też.

Jeszcze tego samego dnia, gdy dziewczyny pożegnały się i pojechały do siebie, przysiadłem przy komputerze, przed pustą cyfrową stroną, z rozrywającą mnie od środka chęcią napisania czegoś, co odzwierciedlałoby mój obecny stan. Wiecie, gdy przez dłuższy czas życie w mroku i beznadziei, człowiek uczy się doceniać te krótkie, ulotne chwile radości i bez troski.

Tak też rozpocząłem pisanie Agencji, która w kolejnych tygodniach trafiała na reaktywowanego Vichana.

W pierwszej formie seria stanowiła swój własny mikrokosmos niezwiązany otwarcie z Rewirem, ale w końcu za sprawą ławki cała kurtyna opadła i wnikiwie anonki zrozumiały o co kaman, rozpoznając niektórych bohaterów bez konieczności podawania wprost ich imion. To z kolei „przymusiło” mnie do bardziej intensywnej pracy z tekstem, redagując nową edycję Rewiru i zaraz potem sklejącą w całość niniejsze wydanie zbiorcze Agencji, różniące się od oryginału publikowanego na Vichanie paroma detalami.

Po pierwsze poszerzyłem serię o sześć nowych rozdziałów, a niektóre ze starszych dodatkowo rozbudowałem o dodatkowe drobniutki anegdotki czy dywagacje. O ile pierwotnie publikowałem jedynie historie wesołe i „cieple”, w pełnej wersji zbiorczej zdecydowałem się opisać również tych kilka gorzkich, ściślej ten poświęcony spotkaniu teściów Izy ze mną i Ewelina, oraz ten o pogrzebie babci Zuzy. Czy zmieniają one ton całej sagi? Mam szczerą nadzieję, że nie. Dalej chciałbym, by była ona promykiem radości i nadziei, ale chęć wiernego ukazania przedziału czasowego, gdy pracowaliśmy w agencji, wzięta górą nad snuciem stricte przyjemnych wspomnień. Szczególnie, że okres naszego dorastania ukazałem od obu stron, dobrej i złej, nie przemilczając nawet tych najbardziej upokarzających, wstydliwych, szokujących i wulgarnych przeżyć. Nie zapominajcie też o tym, że każda droga gdzieś prowadzi, a ta, której końcowym przystankiem jest szeroko rozumiane szczęście, może również być miejscami

wyboista. No w końcu żyjemy, kurwa, w Polsce, więc czego jak czego, ale podziurawionej jak ser szwajcarski nawierzchni powinniście się spodziewać zawsze i wszędzie.

Z Rewiru przeniosłem do Agencji jeden żarcik („uuu, pończuchy!”), który tam został wciśnięty na siłę i wyprzedzał akcję o ładnych kilka lat. Technicznie rzuciłem go przy Ewelinie gdy ta wychodziła na urodziny Mileny, a nie, jak sugerowałaby obecna wersja, wypiękniata na spotkanie ze starymi Zuzy, ale jako że na oba wydarzenia ubrała się bardzo podobnie i równie elegancko, a ja nie mogłem znaleźć dobrego miejsca dla wspomnianej wyciętej z Rewiru anegdotki, trafiła tutaj. Sytuacja jest więc zupełnie odwrotna do patologicznej imprezy urodzinowej gówniaka Seby mieszkającego piętro nad nami (mającej miejsce w 2016 roku), której elementy wykorzystałem w opowieści o osiemnastce Spermy, w wydaniu V Rewiru. Nie zawsze można opowiedzieć wszystko w pełni chronologicznie, a nie widzę sensu znowu rozgrzebywać tych samych rozdziałów i żonglować ich częściami raz po raz. Uznajmy więc, że nie ma tematu, okej?

Możecie się zapytać „co dalej”. Zobaczmy. Wciąż nie powiedziałem ostatniego słowa i w przyszłości chciałbym opisać jeszcze parę zabawnych sytuacji, jakich byłem (i miejmy nadzieję, że jeszcze będę) świadkiem. Póki co jednak myślę, że pierwsza edycja Agencji zawiera to, co chciałem w niej zawrzeć, i ukazuje dynamikę panującą między mną, Zuzką, Izą i naszymi przyjaciółmi, a także realia pracy w miejscu, które w teorii nie powinno nawet istnieć, a co dopiero przynosić zyski. Plajta naszej agencji jest końcem tej opowieści, ale nie stanowiła końca naszych przygód, o, nie. Prawdziwe historie nigdy się nie kończą i kiedyś na pewno ujrzycie kolejne fragmenty tej mojej (o czym na pewno poinformuję was na <https://rewir.home.blog>).



Cytaty i parafrazy utworów muzycznych

1 **Styx** – Mr. Roboto

2 **Beastie Boys** - Intergalactic